POLSKA AKADEMIA NAUK
INSTYTUT HISTORII
Biblioteka
II. 1793

I.A. Komorowski

WSPOMNIENIA PODCHORĄŻEGO Z CZASÓW W. X. KONSTANTEGO

Wspomnienia Podchorążego

z czasów w. x. Konstantego.

http://rcin.org.pl

Wspomnienia Podchorążego

z czasów w. x. Konstantego

napisał

Ignacy A. Komorowski.

(Przedruk z „Gońca".)

LWÓW.

Nakładem redakcyi „Gońca". Drukiem E. Winiarza.

1863.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Wielmożnemu Jego Mość Panu

Leonowi Bietkowskiemu,

majorowi b. wojsk polskich

towarzyszowi broni z r. 1831

w dowód prawdziwego szacunku

poświęca Autor tę pracę

w części na jego opowiadaniu osnutą.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Wstęp.

Koniec 1830 roku zajaśniał w Polsce jako meteor. Wszystkie prawie serca w narodzie zadrgały, wszystkie jak jednem tętnem biły nadzieją oswobodzenia, wszystkie pełne były gotowości do największych ofiar. Że później fałszywe ocenienie sił narodowych, nieudolność dowódców, brak talentów tak wojskowych jak i administracyjnych, niedostatek energii i poświęcenia się tych, którzy stanęli u steru sprawy, wszystko zgubił, nie wasza wina szlachetna młodzi.

Historya współczesna oceniła poniekąd popełnione błędy naczelników, wystawiając niezdatność jednych, zarozumienie drugich, bojaźń skompromitowania się trzecich, a na koniec podłość i interes własny reszty. Ale dotąd, choć już trzecia prawie część wieku upłynęła, nie może ona jeszcze dać bezstronnego poglądu na wypadki 1831 roku.

Nadto są jeszcze rozburzone namiętności, nadto wiele istnieje nienawistnych sobie partyj, ażeby zimno i prawdziwie bezstronnie sądzić.

Wszyscy w ogólności, jeżeli zechcą wyznać prawdę, wszyscy błądzili.

Każden uniewinniając siebie, zwala winę na drugiego. Nikt nie ma tyle siły moralnej i zaparcia się siebie samego, żeby się przyznał do winy; a na słuszne zarzuty odpowiada ostrem w jadzie maczanem piórem, lub szermierzy zjadliwym językiem. *Boże odpuść im bo nie wiedzą co czynią!*

Pisząc o Podchorążych, cofam się do początku organizacyi wojska polskiego, pod dowództwem w. x. Konstantego, które na mocy traktatów na kongresie wiedeńskim zawartych, utworzone zostało. Konstanty organizując to wojsko na sposób maryonetkowy, wziął sobie za zasadę nadania mu jak najpiękniejszej powierzchowności, jak najjednostajniejszej postawy, połączonej z największą precyzyą ruchów, i do tego w istocie doprowadził. Ale obawiając się rozwoju umysłowego w garnącej się pod sztandary niby narodowe młodzieży, dokładał wszelkiego starania, ażeby ją zajmować i męczyć ciągle służbą frontową, a tem samem oderwać od myślącego i postępowego towarzystwa. Zabroniony był pod najsurowszemi karami wstęp do teatru dla podoficerów i żołnierzy, zakazano uczęszczanie do przyzwoitych towarzystw, ale tolerowano biesiady po szynkach i stosunki z kobietami najpodejrzańszej reputacyi.

Subordynacya była samowolna i tyrańska, a że w każdem walecznem młodem sercu, jest wrodzona chęć przekraczania oburzających rozkazów i niedorzecznych rozporządzeń, więc młodzież nie zważając na srogie i smutne następstwa, dopuszczała się bez namysłu zbrodni nieposłuszeństwa takim nadużyciom władzy.

http://rcin.org.pl

Z tego powodu wielu obdarzonych z natury wielkiemi zdolnościami i odwagą bez granic, puszczało wodze namiętnościom chwilowym; tryumfując jeżeli się udało zrobić jaki wybryk, przekroczyć bezkarnie nieludzkie i nierozumne przepisy.

Wielu też takich, którzyby zaszczyt wojsku a pociechę narodowi przynieść byli mogli, zmarniało w lazaretach lub więzieniach.

Zawiązanie się towarzystwa patryotycznego przez ludzi pełnych odwagi i poświęcenia się, którzy się nie dali odstraszyć wypadkami 1825 roku tak smutnie zakończonemi, do którego to wielu młodych oficerów przystąpiło, zaczęło powoli wywierać wpływ swój na tę młodzież, która nierozważnie leciała w przepaść. Pierwsze objawy tego wpływu towarzystwa dały się widzieć w piechocie, między inżynierami i saperami.

Szkoła podchorążych piesza, sam wybór pełnej życia młodzieży, stała się celem usilnych prac tych apostołów wolności. Powoli, ostrożnie działając na pojedynczych członków, starali się związkowi zaszczepiać w całej szkole miłość ojczyzny, poświęcenie się bez granic dla jej wyswobodzenia, uczucie wyższe obowiązków obywatela względem kraju, zamiłowanie prac umysłowych, a odrywanie się od brudnych uciech, które już poczynały zmieniać się w naturę i potrzebę życia.

Ile też to poświęcenia się, ile cierpliwości, ile ostrożności wymagało takie postępowanie, żadne pióro opisać tego nie jest w stanie.

Jakim sposobem wśród silnie i systematycznie uorganizowanego szpiegostwa udało się zachować tajemnicę między tylu młodymi, burzliwymi i po trochę już zepsutymi ludźmi, to w istocie szczególniejsze zjawisko.

Rok 1831 nie zbawił wprawdzie Polski, ale ją odrodził w sercach każdego z członków tego nieszczęśliwego narodu, ale odrodził uczucie jej miłości.

Całą zasługą mego nieudolnego pióra jest najszczersza prawda we wszystkich najdrobniejszych szczegółach. Pozbierałem je z notatek wiarogodnych świadków, z opowiadania bezstronnego zacnych kolegów i zapatrywania się osobistego na te lata ucisku i tyrańskiej samowoli. Niezadługo wymrą naoczni świadkowie rządów w. x. Konstantego. Tradycye nikną i z czasem tracą wiarę. Niech więc te wspomnienia zostaną na pamiątkę przyszłemu pokoleniu, przez jakieto coraz nowsze, coraz dotkliwsze cierpienia i męczarnie przechodziła Polska od czasu utracenia swego bytu politycznego.

http://rcin.org.pl

Było to w roku 1834. Siódma wybiła, wicher dął z właściwą północnych krajów wściekłością, miotając śniegiem układającym się coraz w nowe, coraz w więcej fantastyczne pagórki. W dużym, ciepłym pokoju, gdzie zwykle męzkie towarzystwo się zbierało, palił się wesoły ogień na kominku.

Było to w moim domu. Kilka osób, które z nami święta Bożego Narodzenia przepędziły nie mogły się dla zawierzuchy rozjechać. Obszerny dom ułatwiał wygodne pomieszczenie gości, gawęda czas skracała.

Siedziało nas czterech przy kominie: ja, mój teść p. Franciszek, mój szwagier p. Jakób i p. Józef.

P. Franciszek zazwyczaj wesoły, w domu gościnny, uprzejmy, mając zawsze jakąś facecyjkę dawną do opowiadania, siedział tym razem smutny, zamyślony, milczący, w ciepłym szlafroku i grubym obwinięty szalem.

W drugim pokoju kipiał samowar; około okrągłego stołu siedziały damy i młodzież dopomagająca wesoło nigdy niewyczerpanej konwerzacyi o modach, strojach i nadchodzących zapustach; dzieci na boku swawoliły.

Niewinny komerażyk dowcipnie rzucony, wzbudzał ogólną uwagę lub śmiech powszechny. Chwalono ludzkie przymioty, ale jeszcze częściej nie szczędzono przygan ułomnościom. Wreszcie zawezwano nas do herbaty.

P. Franciszek pod pozorem, że w szlafroku, nie chciał ruszyć z miejsca, podziękował za herbatę i kazał sobie zrobić ciepłej limoniady. Choć już w wieku dość podeszłym, ale zdrów, silny, przyzwoicie otyły, obdarzony doskonałym apetytem, czerwony na twarzy, był tego mocnego przekonania, że na suchoty zachorować może. Ta myśl trawiła go, ile razy dostał kataru; bo jakiś uczony doktor wyrzekł, że katar do suchot prowadzi najkrótszą drogą.

Chcieliśmy zostać dla jego towarzystwa, lecz nie dozwolił. Poszliśmy więc do kobiet, gdzie wypiwszy po parę filiżanek chińskiego nektaru, pośmiawszy się w wesołem towarzystwie, wróciliśmy na nasze dawne stanowisko. Pozapalano cygara; zaczęła się gawęda.

Wszyscy oprócz p. F., byli dawni wojskowi: więc z porządku rzeczy była mowa o rozmaitych wypadkach, tego w ogólności awanturniczego życia.

P. Franciszek nic nie gadał. Bojąc się, żeby go nie nudzić, zaproponowałem ulubionego Lomberka. Odmówił, utrzymując, że słuchając nas, doskonale się bawi. Ręczę że nie słuchał, tylko myślał o strasznych następstwach kataru. Nastąpiła chwila milczenia. Przerwał ją Józef Zieliński, były oficer drugiego półku strzelców pieszych.

— Wspomnienia naszej ostatniej wojny, krótkiej, ujętej — że tak powiem — w bardzo ciasne ramy, są nadto bolesne, nadto oklepane, żeby o nich mówić, bo któż ich nie zna? Gdybym był pewnym, że was i szanownego p. F. nie znudzę, przeczytałbym niektóre epizody mego życia w garnizonie.

Zaręczywszy, że nam wielką zrobi przyjemność, przyłożyłem kilka świeżych polan do ognia. Józef zapalił nowe cygaro, dobył z pularesu mały seksternik, odchrząknął, utarł nosa, zagłębił się w fotelu, założył nogę na nogę i zaczął czytać:

http://rcin.org.pl

— Urodziłem się w Galicyi. Rodzice moi nie majętni, trzymali przez długie lata dzierżawę w dobrach jednego z najbogatszych panów tego kraju. Szczęście im nie sprzyjało. Ognie, nieurodzaje, grady i inne nieprzewidziane wypadki prześladowały. Wychowanie staranne kilkorga dzieci uszczuplało niewielkie fundusze.

— Przyjechałem na wakacye po skończonej filozofii we Lwowie w r. 1821. Bogobojni moi rodzice, idąc za dawnem przysłowiem że: *„Kto ma xiędza w rodzie, temu bieda niedobodzie“*, uradzili między sobą, żeby mnie do stanu duchownego namawiać.

Nie miałem wprawdzie powołania, ale powolny radom z serca i potrzeby dawanym, chcąc jak najprędzej uwolnić ich od ciężaru mego utrzymania, w nadziei że z czasem będę im nawet mógł być pomocą, postanowiłem po zdrowym namyśle przywdziać po skończonych wakacyach sukienkę seminarzysty; ale jak to mówią: *„L'homme propose, dieu dispose“*, inaczej się stało. W stałem przedsięwzięciu opuszczenia świata i jego uciech, chciałem jeszcze korzystać z ostatnich chwil wolności: odwidzałem to sam, to z rodzicami liczne nasze sąsiedztwo. Razu jednego pojechaliśmy z całą rodziną do powszechnie poważanej w okolicy pani cześnikowej. Pobożna pani ta a wielka przyjaciółka mojej matki, pochwaliła obranie stanu i obiecywała modlić się, ażebym zostawszy xiędzem, do najwyższych w tym zawodzie mógł doprowadzić godności. Ucałowałem ze łzami jej rękę, ale czy te łzy pochodziły z wdzięczności, czy z żalu za światem, dziś prawdziwie nie wiem.

Tam zastaliśmy jej zięcia, majora Kępskiego, któren z Polski na urlop przyjechał z żoną do matki.

P. major, człowiek jeszcze przystojny, ozdobiony dwoma krzyżami wojskowemi, okryty wielu bliznami, nadzwyczajnie słodki i miły w towarzystwie, czysto, elegancko, ale zawsze po formie ubrany, bardzo mnie zainteresował. Słuchałem z zajęciem jego opowiadań, nacechowanych piętnem prawdy. Każde jego słowo tkwiło mi w pamięci, coraz też więcej nabierałem pociągu do wciętego munduru, do świecących się szlif; coraz bardziej czarna sutanna traciła dla mnie urok. Postrzegł to major, podobała mu się moja postawa i skromność, a wypytawszy się, jakie mam nadal zamiary, naśmiał się serdecznie z myśli moich rodziców, którzy moją figurę chcą na wieki w czarny schować worek. Nie tracąc czasu, zaczął ich zaraz namawiać, żeby zaniechali tej myśli, a oddali mnie do wojska, gdzie pewnie wielka czeka mnie karyera, i gdzie mi swoją obiecywał protekcyę.

Pojechaliśmy do domu. Matka płakała, ojciec się zamyślał. Oboje ciągle radzili coś między sobą. Ja nic nie mówiłem, alem bardzo zesmutniał. Po trzech dniach namysłu rodzice czując instynktem, że mi plan majora bardzo do smaku przypadł, zgodzili się na jego propozycyę, widząc w tem palec Opatrzności. O gdyby matka była wiedziała, że p. major nie katolik tylko kalwin, nigdy nie byłaby pozwoliła żebym poszedł za jego radami.

Gdy już postanowienie moje stało się nieodzownem, pojechał ojciec do Lwowa, żeby mi uzyskać paszport pod pozorem odwidzenia krewnych w Polsce, (jak to się zazwyczaj wtenczas robiło), a ja z matką udaliśmy się znowu do pani cześnikowej, dla pomówienia z majorem o dalszem postępowaniu.

Urlop majora kończył się za dwa tygodnie. Żonę zostawiał u matki, sam zaś za dni czternaście musiał być w Warszawie koniecznie, gdzie pułk jego wraz z całem wojskiem o tym czasie do obozu miał przymaszerować.

Powiedział nam więc, że jeżeli do dziesięciu dni będę gotów do podróży, to mię z sobą zabierze, natychmiast wielkiemu xięciu Konstantemu przedstawi, i do pułku swego zapisze.

Napomniał mię, żebym wiele nie brał z sobą manatków, bo to się na nic nie przyda. „Jeden frak porządny do wystąpienia nim mundur przywdziejesz, a surdut na drogę; teraz lato, płaszcza nie potrzeba, bo mam krytą bryczkę; wolisz mieć kilkadziesiąt złotych w

http://rcin.org.pl

kieszeni, to zawsze się przyda, a pieniądze szanuj, bo do domu daleko, a tam nikt nie da.“

Zbliżał się dzień wyjazdu. Rodzice i rodzeństwo odprowadzili mnie; zastaliśmy na dziedzińcu pakującą się bryczkę majora. Dałem do niej moje zawiniątko, a po śniadaniu, po czułem pożegnaniu, po wielu łzach wylanych i błogosławieństwach, ruszyliśmy.

Żyd furman z pobliskiego miasteczka Sokala żwawo zacinał cztery dobre konie. Bez popasu zajechaliśmy do granicy. Przebywszy komorę austryacką, z wielkiem biciem serca zbliżałem się do Polski.

Biało z czerwonem pomalowana rogatka rozdzielić mnie miała od wszystkiego, co dotąd znałem, od wszystkiego, co kochałem; podniosła się na nasz widok; przejechaliśmy. Wszystkie przedmioty obijające się o moje oczy, były dla mnie nowe. Mowa ojczysta urzędników, orły na słupach, wysmukłe i sprytne dońce na małych zwinnych koniach, uwijali się koło granicy, jakby ich służba tylko zabawką była. Czas był piękny, słońce zaszło, a xiężyc w pełni z drugiej strony zaczął się pokazywać.

Pożegnaliśmy naczelnika komory, u którego byliśmy na wieczerzy; dawny to był znajomy majora, były oficer, staruszek, pełen życia i wesołości, miał dwóch synów w wojsku; na wsiadanem kazał jeszcze przynieść butelkę wina, i wypił nasze zdrowie. Podziękowawszy, żyd znowu konie zaciął, i już późno w nocy stanęliśmy w Hrubieszowie. Przespawszy się kilka godzin, z rana p. major odprawił żydka, który nas wiózł tak dobrze, napisał przez niego kilka słów do żony, dał pięć złotych na piwo, i posłał swego fagasa po pocztowe konie.

Nim zaprzęgli, przyszedł do nas miejscowy porucznik żandarmów Białoskórski, stary oryginał, wielki służbista, ale przytem poczciwy człowiek, i powszechnie poważany. Będąc jeszcze bardzo młodym zaczął zawód wojenny u huzarów austryackich. Stojąc ciągle za granicami Galicyi, zapomniał ojczystego języka. Po roku 1809 przeszedł do huzarów polskich; zawsze jednak utrzymywał, że nie ma huzara tylko Węgier, że wszystkie inne naśladowania są tylko liche parodie. Klął po węgiersku, z węgierskiej krótkiej fajki ciągle palił, spluwając co moment, często po mundurze. Lubił bardzo opowiadać odbyte kampanie włoskie, szczególnie zaś oblężenie Mantuy, gdzie wszystkie konie, koty, nawet szczury powyjadali. Jak wpadł na tę materyę, a cierpliwych znalazł słuchaczów, nie było końca.

Uścisnął rękę majora, pytał co słychać w Galicyi, jaki tam pułk huzarów stoi, znał bowiem skład i historyę każdego z nich, i o każdym byłby nam gadał, gdyby trąbka pocztowa nie zawiadomiła, że już wszystko gotowe. Uścisnęli się na pożegnanie, mnie poklepał po ramieniu i napomniał, żebym się dobrze prowadził, zdrowie szanował i służby pilnował. Ruszyliśmy, konie pomykały, pocztylion trąbił wesoło. Major, który dnia wczorajszego milczał prawie ciągle, dziś się rozgadał. Opowiadał mi, jak już w siedemnastym roku życia swego został chorążym w pruskiej piechocie. Opisywał mundur, półtorałokciowy harcap, fryzowaną i pudrowaną głowę, nad wszystko chwalił subordynacyę, która tam istniała, mówiąc i słusznie, że bez niej wojsko egzystować nie może, że jest podstawą porządku i waleczności.

W bitwie pod Jeną lekko ranny, dostał się do niewoli, a przy zawiązaniu się wojsk xięstwa Warszawskiego wstąpił jako porucznik do 13 pułku piechoty. Opowiadał dalej, jak źle mówiąc po polsku, trudną mu była z początku komenda; jak dostrzegłszy to jeden z faworytów xięcia Józefa Poniatowskiego, a chcąc go rozerwać, wyprowadził na plac musztry, gdzieśmy rekrutów uczyli.

— „Chcąc się popisywać w obecności naszego wodza (a było nabijanie na 12 tempów), przekręciłem już niejeden wyraz; następywała komenda „odkryj panewkę!“ zapomniałem, zaczerwieniłem się; w tem adjutant figlarz szepce z nienacka „odgryź panewkę“. „Odgryź panewkę!“ zakomenderowałem na cały głos; wszyscy w śmiech, tylko nasz xiążę ze zwykłą sobie dobrocią zbliżył się do mnie, chwaląc postawę rekruta, i rzekł odchodząc: „z panewką ostrożnie, bo zęby stracisz.“ Jakby wieszczym

http://rcin.org.pl

duchem przepowiedział, bo pod Mozajskiem gdzie odkomenderowany z kompanią, otoczony zostałem przez cały pułk kirasyerów, oficer przyskoczył do mnie na koniu, wzywając do poddania się. Tylko co miałem na takie wezwanie zakomenderować „ognia!“ strzelił do mnie *à bout portant* z pistoletu i wyłamał wszystkie przednie zęby. Żołnierze nie czekali komendy, drugi szereg sypnął celnie, oficer padł, przeszyty kilku kulami, kilkunastu kirasyerów zwaliło się z końmi, i zrobili gatunek wału. Uformowani w kupkę cofaliśmy się w porządku, powoli, ciągle otaczani, ciągle ścieląc trupów po drodze, nim nam pomoc przyszła.“

„Francuzi, co nas mieli za zgubionych, brawo dawali; nie straciłem żadnego z moich ludzi, a podany do raportu cesarzowi, ozdobiony zostałem nazajutrz zaraz krzyżem legii honorowej.“

Major coraz w lepszym humorze, ciągle opowiadał; poczta leciała, i anim się spostrzegł, jakeśmy się zbliżyli do Krasnego Stawu. Co za widok uroczy przedstawił się tam oczom moim. Na polu blisko miasta, cztery linie ruchome siwych koni, białe jak śnieg rabaty, białe rogate czapki, białe z granatowem chorągiewki na lancach migotały poruszane lekkim wiatrem i ruchem koni. Oficerowie na dzielnych anglezowanych rumakach przebiegali przed frontem; muzyka na skrzydle grała jakiegoś prześlicznego marsza.

— Co to jest panie majorze? zapytałem w uniesieniu.

— To drugi pułk ułanów; jeden z najpiękniejszych w Europie, przygotowuje się do marszu na manewry do Warszawy. Właśnie zaczną defilować. Jeżeliś ciekawy, zostań tu i patrzaj. To mówiąc wyciągnął zegarek. Ja w Krasnym Stawie zabawię dwie godziny, ani minuty dłużej, znajdziesz mnie na poczcie. Wyskoczyłem uradowany pozwoleniem, zbliżyłem się ile było można. Cały w zachwyceniu podziwiałem całość, jednostajność ruchów, odstępów, maść koni i składność wszystkich szczegółów składających umontowanie. Defil się skończył; muzyka naprzód pomaszerowała, a ja nie zważając na proch, biegłem jak student koło wojska.

— Jak się masz Józefie? odezwie się głos z frontu. Co tu robisz?

Nie poznałem od razu kto do mnie przemówił, aż przypatrzywszy się ujrzałem szkolnego kolegę, przed dwoma laty dzieciucha, dziś przystojnego podchorążego.

— Znacie go panowie? rzeknie Józef położywszy na stoliku seksternik, zapalając zgasłe cygaro; był tu niedawno z tą piękną blizną przez całą długość nosa, którą sobie z pod Stoczka wyniósł.

— Eustachy! zawołaliśmy razem.

— Tak jest, poznał mnie.

Józef wziął seksternik znowu i czytał dalej:

— Jadę do Warszawy, wstępuję do wojska —

— Pewno do ułanów?

— Nie, do piechoty.

— Co! chyba żartujesz, któż cię do tego namówił?

— Major K. i bierze mnie do pułku, w którym sam służy.

— Major K.! winszuję; ale nie zazdroszczę; słyszycie co on gada? rzekł odwróciwszy się do kolegów. Pękać od śmiechu na honor. Choć z nami bo już miasto, nie będę mógł z tobą gadać.

Za broń! zakomenderowano. Żołnierze wzięli lance w rękę, podoficerowie i oficerowie dobyli pałaszów, muzyka stanęła przed kwaterą pułkownika, cały pułk w paradzie przeciągnął, i rozszedł się po koszarach i kwaterach.

Eustachy stał w mieście z kilkoma podchorążymi, zsiadł z konia, uściskał mnie serdecznie, przedstawił kolegom, i dalej perswadować, żebym sobie piechotę z głowy wybił, namawiać, żebym z nimi został.

— Krótko mówiąc, „rób jak chcesz“ — rzekł Eustachy, bełkocąc trochę dla pospiechu — jak wiecie. Ale zawsze zanotuj sobie, że ułany to ułany, i niema pana nad ułana. —

http://rcin.org.pl

Patrz co to za chłopcy, jeden w drugiego. Wiesz że w okolicy nie ma balu, żadnego wesela, nawet stypy, żeby nas nie proszono. — Wszak prawda koledzy? — O co prawda to prawda — odezwali się chórem podchorążowie, śmiejąc się serdecznie. Bez ułanów niema zabawy, nie ma ochoty. Wszystkie kobiety przepadają za nami, my wszystkie serdecznie kochamy, i po trochę bałamucimy; a żaden cywilus ani piechur przystępu ani tyle nie ma, — dodał pokazując na pazur. — Rabaty, szlify, kordony, lampasy i ostrogi jak magnes do siebie ciągną. A służba? to zabawka: wyjeżdża się na pięknym koniu jak na spacer, muzyka wesoło przygrywa, śmiechy ciągłe, wesołość, koncepta ożywiają szeregi; a po mustrze umizgi, dobre życie, wieczorami tańce, to całe nasze zatrudnienie. A w piechocie łazisz w błocie, nikt nie widzi, czy w barlaczach, czy w pantoflach, dźwigasz karabin jak polano za pańszczyznę do gorzelni, aż się uginasz; patrontasz krzyże ci łamie, płaszcz stroczony piersi ci dusi, a cielak *mee-e-e*; nikt się nie popatrzy na piechura, a jeszcze czasem, chłop jak wraca z jarmarku i konie zacina, zapyta śmiejąc się: „Panie żołnierz, poczemu łokieć cielęciny?“ i popędzi obryzgawszy cię od ucha do pięty. Aż wszyscy diabli biorą człowieka, jeżeli choć trochę ma uczucia w sercu a oleju w głowie. Jeszcze ci raz po przyjacielsku powiadam, zostań z nami, porzuć tego nudziarza, luterskiego kaznodzieję, twego protektora, bo wspomnisz moje słowo, że będziesz żałował. Choć zostaniesz oficerem, to cóż dalej? przypaszesz się do szpady jak kucharz do rożna, ale na tym rożniu nie będzie co upiec.

— Chętni bym z wami został, ale znasz moje małe fundusze; życie w konnicy więcej kosztuje, a zresztą major powiada, że w piechocie prędszy awans, sam mnie wiezie do Warszawy i obiecuje protekcyę.

— Ej, niema z tobą widzę rady, rób jak chcesz.

— Długo tu zabawicie?

— Dwie godziny od chwili jak z bryczki wyskoczyłem, major na poczcie czekać będzie.

— Dwie godziny? to już nie wiele czasu do stracenia, wypij z nami kieliszek wódki na drogę, i ruszaj co masz nóg, bo ci pewnie minuty nie daruje, a pieszo do Warszawy na próbę nóg diable daleko.

Zawołana fertyczna żydówka wyniosła butelkę, wypiliśmy, uścisnęli sobie ręce jak dawni już znajomi, Eustachy odprowadził mnie kawałek drogi; pokazał pocztę, żegnając powiedział, szkoda że nie słuchasz mojej przyjacielskiej rady.

Zastałem majora. Jak mnie zobaczył, dobył zegarka.

— Jeszcze dwie minuty. Podobasz mi się, akuratność pierwsza cnota żołnierza.

Zaprzężono; ruszyliśmy; wódka na czczy żołądek nalana rozmarzyła mnie, zacząłem drzemać, we śnie ciągle mi się snuły po głowie białe czapki, siwe konie i furkotanie chorągiewek.

— Co to za podchorąży, co cię odprowadzał na róg ulicy — zapytał major — jak się przebudziłem.

— To Eustachy, syn sąsiada pani cześnikowej.

— Pewnie cię do ułanów werbował?

— Tak jest, panie majorze, bardzo mnie namawiali, żebym u nich został.

— Piękny pułk, niema co mówić; ale to nie dla ciebie. Młodzież bogata może sprostać zaprowadzonemu w jeździe zbytkowi; twoi rodzice nie są w stanie wystarczyć, żebyś z drugimi stanął na równi. Albo byś musiał żyć zupełnie samotnie, albo byś w długi zalazł, a za długami dyshonor i hańba. Piechota mniej może świetna, ale za to pierwsza broń; przekonasz się z czasem najlepiej; a jeżeli się wojny doczekasz, zobaczysz jak nieraz te piękne ułany cisnąć się będą pod opiekę karabinów.

Noc już była, jakeśmy stanęli w Lublinie. Zajechaliśmy do oberży trzymanej przez Francuza na Krakowskiem. Pierwszy raz jadłem we francuskiej restauracyi. Wieczerza była wyborna, ale i apetyt niezgorszy po całodziennej jeździe i głodzie z łaski ułanów.

http://rcin.org.pl

Nazajutrz rano major się ubrał w paradzie, wychodząc rzekł:

— Muszę się zameldować w placu i u jenerała; to potrwa najdalej do jedynastej. Masz kilka godzin czasu. Obiegnij miasto, a na pół do jedynastej bądź w kwaterze. Pojedziemy, żeby dziś jeszcze być w Warszawie. Chcę mieć parę dni wolnych, nim pułk przymaszeruje. Wszyscy znają Lublin, sławny z unii, sławny z trybunałów i pięknych kościołów. Nie będę go opisywał. Mnie to wszystko nie obchodziło wtenczas, wstępując do wojska, wojska tylko szukałem, wojsko zobaczyć było jedynym celem moim.

Posłużyła mi niedziela. Cały garnizon wystąpił pod bronią na paradę kościelną; nieliczny wprawdzie, bo oddziały w czynnej służbie będące, dnia wczorajszego poszły do obozu. Stanął na placu broni batalion rezerwowy 3 liniowego, rezerwowy szwadron 1 ułanów pieszo; amarantowe jego czapki, i rabaty przypomniały mi arcydzieła Werneta, które nieraz podziwiałem. Kilku poważnych żandarmów, i kilkunastu weteranów, dwóch jenerałów, adjutanci, i oficerowie służbowi całą składali paradę.

Ach jak mi się to wszystko pięknem wydało; nie mogłem nasycić oczu. Po mszy św. którą razem z nimi wysłuchałem, wróciłem do kwatery, niecierpliwy, żeby już jak najprędzej zajechać do Warszawy, do tego celu wszystkich moich życzeń i nadziej.

Pomny na głód wczorajszy zjadłem w restauracyi obfite śniadanie; przy nim zastał mnie major, zasiadł przy osobnym stoliku z drugim sztabs-oficerem. Jedząc coś cicho i długo rozmawiali, po czem zapłacił za mnie i za siebie, pożegnał się z kolegą, przebrał się na drogę i zaraz ruszyliśmy dalej. Niezatrzymując się nigdzie, oprócz stacyj pocztowych, zajechaliśmy dobrym zmrokiem na Pragę; zkąd przy świetle xiężyca, pokazała się w całej okazałości, na przeciwległym wysokim brzegu rzeki Warszawa. Po zameldowaniu się na rogatkach przelecieliśmy przez tę tyle razy nie szczęsną Pragę; przebyli most wolnym krokiem, wydrapaliśmy się ciasnemi przykremi ulicami po niegodziwym bruku na górę; zostawiając Zamek na prawo, a zwróciwszy się na lewo, koło kolumny Zygmunta, stanęliśmy na Krakowskiem w hotelu Gerlacha. Major się przebrał, i zaraz w miasto ruszył. Ja to samo uczyniłem. Mając adres mego wielkiego przyjaciela, któren od roku był urzędnikiem w komisyi wojewodzkiej, a dawniej kochał się w siostrze mojej, poleciałem do niego.

Tylko com się zbliżył do domu, w którym mieszkał na Starem mieście, spotkałem go we drzwiach; uściskaliśmy się serdecznie; szedł właśnie do kawiarni i wziął mnie z sobą. Tam zasiadłszy w kącie, opowiadaliśmy sobie wszystko co nas obchodzić mogło, oświecił mnie w wielu bardzo rzeczach. Mówił, że i on tu przyjechał pełen nadziei i ułudy, ale z czasem się przekonał, że iluzye zawsze iluzyami i prędzej czy później rozwieją się, zostawiając po sobie tylko gorycz doświadczenia i rzeczywistości. Obiecał mnie zaraz nazajutrz zapoznać z mymi przyszłymi kolegami galicyjskimi.

Potrzeba o tem wiedzieć, że choć to wszystko Polska, ale rodowości prowincyonalne szczególnie w niższych stopniach, mniej więcej z sobą się tylko trzymały. Po 10 odprowadził mnie do Hotelu. Major wkrótce nadszedł, znał Stanisława (tak się nazywał mój przyjaciel) i oddał mu list od matki, w którym, o ile zauważałem był skromny zasiłek pieniężny.

Nazajutrz rano, rzekł do mnie major wychodząc: dziś masz cały dzień dla siebie; używaj go jak ci się podoba, tylko o tem pamiętaj, że jesteś w Warszawie; a że w Warszawie jest wielki xiąże Konstanty; jeżelibyś przypadkiem zobaczył z daleka kocz zaprężony 4 kasztanowatemi końmi w poręcz, a w nim jenerała w kapeluszu z wielką kitą; stań pod murem, wyprostuj się, zdejm kapelusz, bo to wielki xiążę. Jeżeliby kazał stanąć, i zawołał cię, co się czasem wydarzy widząc nową twarz w mieście, odpowiadaj śmiało, z uszanowaniem; a jeżelibyś się zagawronił, i kapelusz zdjąć zapomniał, mógłbyś się zobaczyć na przywitanie z kozą. Nie zawadzi, tem

http://rcin.org.pl

bardziej, że wstępujesz do wojska, każdemu jenerałowi się ukłonić. Bywaj zdrów; może ci w wieczór powiem, kiedy przed jego cesarzewiczowską Mością naczelnym wodzem stawić się będziesz mógł.

Pojechał major dorożką, za chwilę przyszedł Stanisław.

— Wyprosiłem się u mego szefa biorąc na cały dzień urlop.

Zacznijmy od początku, chodźmy na śniadanie.

Zaprowadził mnie do skromnej traktyerni na niższej senatorskiej ulicy. Tam na pierwszem piętrze był bilard, kilka stolików; przystojnych dziewcząt dwoje usługiwało; stary wąsaty Serb Szagona, niegdyś winiarz we Lwowie, trzymał ten zakład, uczęszczany przez Galicyanów. Stanisław był jak w domu; zarządził obfite ale niewytworne śniadanie; zjadłszy i popiwszy sławnem owsianem musującem piwem, puściliśmy się w miasto. Najpierw udaliśmy się do koszar gwardyi grenadyerów. Wielki tam ruch panował, gdyż pojutrze pułk wychodził do obozu. Zaszliśmy do Grabowskiego, starszego sierżanta, u niego zazwyczaj Galicyanie się schodzili. Dziś był tak zajęty wybieraniem się kompanii swojej, dystrybucyą jednych a odbieraniem drugich rekwizytów, że zaledwie mógł się z nami przywitać, dał nam *rendez vous* w obozie za tydzień, gdzie w własnym baraku będzie mógł swobodniej grać rolę gospodarza. Poznałem tylko u niego podchorążego hrabiego Krajewskiego, z którym po kilku latach miałem się zejść w Zamościu. Zadziwiły mnie porządek, czystość i elegancya w koszarach. Podłogi w salach, gdzie stali żołnierze, wymyte, wyskrobane, świecące się, jakgdyby nikt nigdy po nich nie chodził. Prycze, każda na dwoch ludzi, czystemi białemi kocami jednostajnie ponakrywane; półki, na których stała broń, kaszkiety, tornistry i ładownice, w gustowne trofea poukładane. Wszystko to w jednej chwili rozebrane i w jednej chwili złożone być mogło. Tak w. xiążę lubił, tak chciał, i tak być musiało.

Wracając, pokazał mi Stanisław kuchnię; ogromna sklepiona sala biała, widna, czysta; w kilku świecących się kotłach gotował się obiad dla całego pułku. Posadzka kamienna, białym jak śnieg posypana piaskiem. Z jednej strony stały przygotowane małe cebrzyczki, czyste jakgdyby dopiero co z rąk bednarza wyszły, w nich roznoszono jedzenie po salach.

— Taka będzie wkrótce twoja restauracya, powiedział Stanisław. Czystość zastępuje porcelanę. Jedzenie zaś, choć proste, ale smaczne i zdrowe; bo nieraz w. xiążę niespodzianie wpada w czasie obiadu, i z pierwszego lepszego kotła każe sobie podawać strawę. Biada całej inspekcyi, jeżeli jest źle urządzoną.

Opuściliśmy koszary.

— Ta wyprawa nam się nie powiodła; zapomniałem, że całe wojsko w ruchu; ale daruj gryzipiórze. Zaprowadzę cię teraz do ogrodu Saskiego, tam się zatrzymamy, nim się zacznie parada na Saskim placu: ta nigdy nie chybi, chyba mróz wyższy 18 stopni; a i tu czasem dla przypodobania się w. xięciu fałszywy termometr podstawią.

Zaszliśmy do ogrodu; a zasiadłszy na odległej kamiennej ławeczce, tak, żeby nas nikt podsłuchać nie mógł, Stanisław dalej mówił półgłosem.

„Szczególny to człowiek ten wielki xiążę, jego nikt odgadnąć nie potrafi. Oddany duszą i ciałem służbie wojskowej, którą zna na wylot, jak nikt na świecie; żaden szczegół niejest mu obcy, zacząwszy od bębna, na którym tarabani jak najlepszy dobosz, aż do najwięcej komplikowanej taktyki, zacząwszy od guzika, aż do wszystkich odcieni administracyi wojskowej; wszystko zna tak, jak gdyby całe życie, jednemu szczegółowi tylko poświęcał.

Ojciec żołnierza, dbając o jego byt, wygodę i utrzymanie, jest największym tyranem, jeżeli najmniejsze tylko wykroczenie przeciw subordynacyi kto popełni. Namiętny z natury do najwyższego stopnia; w gniewie nie zna granic, a choć wrodzone ma w sobie uczucie sprawiedliwości, jednakowo największą krzywdę niewinnemu wyrządzić gotów; czego nieraz ża-

http://rcin.org.pl

łuje; bywały nawet przykłady, że obrażonego przeprasza.

Drugą jego namiętnością jest policya; chce wszystko wiedzieć, i w samej rzeczy wie bardzo dużo; adjutanci znając to, donoszą mu wszystkie salonowe komeraże; Jurgaszko kapitan żandarmów, ten postrach młodych wojskowych i całego mieszczaństwa, z nieskończoną liczbą swych satelitów, przynosi mu co dzień masę plotek, donosów, częstokroć kłamstw bez liku, to się wszystko w osobnych na to przeznaczonych zapisuje xiążkach, i wielce wpływa na humor w. xięcia.

W. xiążę jest jak ten król duchów, w jakiejś farsie niemieckiej, który, kiedy się śmieje, cała Warszawa za boki się bierze, kiedy zły, to wszyscy w pasyi; biada ostatniemu gdy już nie ma na kogo gniewu wywierać. Ale otoż i bębny słychać, chodźmy, żeby sobie znaleźć dobre miejsce, zobaczysz, czegoś jeszcze nigdy nie widział, zobaczysz w. xięcia; pamiętaj zdjąć kapelusz jak wszyscy zdejmować będą, i ani słowa nie gadać."

Mówiąc o w. x. Konstantym i o paradzie zmiany warty na Saskim placu lub w obozie, muszę skreślić jego zwyczaje i obyczaje, oraz zatrudnienia przedpołudniowe, które się nigdy na włos, przez piętnastoletni jego pobyt w Warszawie nie zmieniły.

Parada zaś jednym i tymże samym trybem odbywana, doszła do takiego stopnia precyzyi w najmniejszych szczegółach, że obcy wojskowi zwiedzający czasem Warszawę, podziwiali tę akuratność, którą z niczem innem porównać nie można było, jak z machiną poruszającą maryonetki. Żaden chronometr regularniejszym być nie mógł, jak te codzienne w. xięcia zabawki, do których on tak wielką przywiązywał wagę.

Kto widywał codziennie paradę na Saskim placu, ten wiedział na minutę i sekundę, co po czem następować powinno.

Czasem tylko kaprys w. xięcia nakazał, żeby w maszerowaniu krokiem paradnym, palce od nóg mniej lub więcej poziomo się nachylały; żeby broń która mocny *szlag* wydawała, raptem ręką jak najsilniej ujęta i uderzona, te same ruchy w największej cichości odbywała.

Zmiany jeszcze dawały się widzieć w zamienieniu kamaszów na szarawarki, białych płaszczów na szare, które już nie jak kiszka dusiły i załamywały dekę piersiową, ale zwinięte w okrągły krótki wałek, i obleczone ceratą na tornistrze się przypinały. Nakoniec zmiana w przypinaniu tornistrów lederwerkami do pasa przytwierdzonemi. To ostatnie było dla oka bardzo ładne, ale nadzwyczajnie szkodliwie działające na wątrobę i śledzionę, które nieustannie duszone pasem, do ciężkich chorób doprowadzały.

Takie ulepszenia wypracowywane były w głównym sztabie w. xięcia i przez niego sankcyonowane ku największej wygodzie żołnierza, a zaprowadzane w armii z akompaniamentem płazów, kułaków, a częstokroć licznych pałek.

Było zaprowadzone u w. xięcia, że obiad gotował się od wschodu słońca do zachodu, żeby na każde zawołanie był gotów, a kolacya od zachodu do wschodu. Co kilka godzin zmieniali się kucharze i jak mówili, potrawy nie spożyte odesłane być miały do *Dzieciątka Jezus*, ale za to ręczyć nie mogę.

W. xiążę miał kilka czwórek kasztanowatych wiackich jednej maści koni; zawsze dniem i nocą jedna z nich zaprzężona stała koło stajni, na każde zawołanie. Co cztery godziny zmieniano czwórkę. Ten sam porządek istniał co do koni wierzchowych.

W. xiążę latem i zimą wstawał przed godziną 4, natychmiast się sam golił, starannie umywał, i zimną wodą zlewać się kazał. Po czem ubierał się już na cały dzień, najczęściej w mały mundur gwardyi kirysyerów podolskich, to jest frak zielony z żółtemi wyłogami, z epoletami generalskiemi srebrnemi i akselbantami, jako pierwszy adjutant cara. Czasami brał na siebie mundur gwardyi ułanów konnopolców, ale to tylko wtenczas, jeżeli na bal iść musiał; bo nie cierpiąc trzewików, w których wszyscy oficerowie występować musieli, oprócz

http://rcin.org.pl

ułanów, tym sposobem nie był przymuszony do tego niemiłego mu stroju.

Generalskiego munduru nie lubił, i nigdy nie brał na siebie od czasu, jak w litewskim korpusie kolor amarantowy zastąpił pąsowy, w reszcie armii rosyjskiej na wyłogi używany. Ubrawszy się podług najskrupulatniejszej formy, stawał przed zwierciadłem, i układał sobie ogromne płowe krzaczaste brwi szczoteczką, żeby nadać swej odpychającej z natury twarzy, wyraz przestraszający, lub niby łagodny, podług tego, w jakim się humorze i usposobieniu przebudził.

Te brwi były niezawodnym barometrem humoru; jeżeli na oczy przyczesane, wszystko już bywało przerażone. Starszyzna w rozpacz wpadała, a niżsi drżeli przed wybuchami wściekłego gniewu. Jeżeli zaś do góry wzniesione, była nadzieja, że dzień bez burzy się skończy. Te zmiany fizyonomii i na cywilnych wpływ swój wywierały.

Przed świtem czekali już w przedpokoju belwederu Rożniecki, Haucke, Rautenstrauch, a czasami niektórzy z osławionych oficerów żandarmeryi. Wpuszczeni po herbacie do salonu przez kamerdynera Kochanowskiego, rozmawiali z w. xięciem mniej więcej przez godzinę. Te rozmowy wieczna pokrywała tajemnica, i nigdy one z tej komnaty na świat nie wychodziły.

Po czem otwierały się podwoje do wielkiego salonu, do którego w. xiążę wraz z wymienionymi generałami wchodził.

Wpuszczono na sam przód posyłki (ordynanse) szkoły podchorążych pieszej, oraz posyłki gwardyi konnej rosyjskiej i polskiej, po jednemu podoficerowi i żołnierzowi, podług starszeństwa pułków. Ta ceremonia dosyć długo trwała, bo im w. xiążę kazał częstokroć wykonywać pojedyńczo różne obroty i robienia bronią na śliskiej jak szkło posadzce. Jeżeli czasem który pośliznąwszy się upadł, rzadko się za to gniewał, tylko śmiał się do rozpuku i naturalnie wszyscy się śmieli, i podnosili przestraszonego nieboraka.

Posyłki komenderowane do belwederu wychodziły z koszar w negliżu, to jest w okolicznościach, starych płaszczach i furażerkach. Efekta zaś, to jest mundury, broń, lederwerki, kaszkiety i buty, nieśli za nimi odkomenderowani na ten cel żołnierze, wszystko jak najstaranniej wyczyszczone, wybielone, wyglansowane i wylakierowane; wszystko ponakrywane prześcieradłami. Za każdą posyłką szło 4 do 5 posługaczy. Procesya była ogromna, dodawszy do niej starszych sierżantów, poruczników i kapitanów.

W belwederze na dole była duża sala z kominem, na którym zimą i latem ogień się palił, przy którym wtłaczano kirysyerów w wilgotne łosiowe spodnie, i na nich obsuszano. Tam się odbywała toaleta.

Po ubraniu się i dopasowaniu całego przyboru pod okiem sierżantów, zaczynała się lustracya zacząwszy od poruczników aż stopniami do generałów, nakoniec adjutanci w. xięcia ostatnią rękę kładli na tem arcydziele. Każdy zazwyczaj znalazł coś do poprawienia, każdy wykręcał przedmiotem ciekawości i troskliwości, każdy trząsł i szturkał biedną ofiarę formy.

Starzy żołnierze do tego przyzwyczajeni, znosili ze stoiczną rezygnacyą te codzienne męczarnie; młodzi szczególnie rekruci głowy tracili. Po skończonym meldunku dostawał każdy z posyłek od kamerdynera Kochanowskiego po filiżance kawy lub lampeczce kwaśnego wina.

Garnizon warszawski składał się zwykle z pułku grenadyerów gwardyi rosyjskiej, z pułku strzelców pieszych tejże gwardyi, z pułków kirysyerów, ułanów i huzarów gwardyi rosyjskiej, z oddziału kozaków gwardyi czerwonych leibgwardyą zwanych, z kozaków czarnomorskich, z bateryi pozycyjnej gwardyi pieszej i z takiejże konnej gwardyi rosyjskiej, dalej z pułku grenadyerów i strzelców konnych gwardyi polskiej i bateryi konnej pozycyjnej tejże gwardyi, z batalionu saperów, z czwartego pułku liniowego, z ośmiu kompanii grenadyerów i z czterech karabinierów liniowych, z batalionu weteranów czynnych i inwalidów. Do tego trzeba dodać szkołę podchorążych pieszą i konną.

http://rcin.org.pl

W obudwóch byli wcieleni podchorążowie czyli junkry gwardyi rosyjskiej.

Po skończonej ceremonii meldunkowej adjutant dyżurny w. xięcia przedstawiał mu cudzoziemców przejezdnych, których w. xiążę podług humoru i kraju, z którego przybywali, mniej więcej grzecznie przyjmował.

Gdy się i to skończyło, wylatywał z salonu, i z Kurutą pierwszym swoim adjutantem wskakiwał do powozu, i leciał do Brühlowskiego pałacu, a jeźli wojsko było skoncentrowane pod Warszawą, do obozu. To się działo o godzinie dziewiątej.

Zajechawszy do pałacu wpadał bocznemi drzwiami do salonu, gdzie na przybycie jego czekali adjutanci całego garnizonu ustawieni szeregiem. Na czele adjutant żandarmeryi, za nim gwardyi polskiej i rosyjskiej, za tymi pułków liniowych po starszeństwie. Każdy, jeden za drugim występował z szeregu, i ze schyloną głową, ze zdjętą rękawiczką z prawej ręki, oddawał raport, i nazad do szeregu wracał.

Po raporcie przechodził w. xiążę, za nim wszyscy obecni do drugiego salonu, gdzie mu jeden z adjutantów przybocznych przedstawiał generałów i półkowników, mających własne prywatne interesa, lub prośby o urlopy dla podkomendnych. Nakoniec meldowały się posyłki pułków pieszych.

Po odbytem meldowaniu postępował z całą świtą do ostatniego ogromnego salonu, od głównego wchodu. Tam czekali wyroków, dawanych podług usposobienia i humoru, aresztowani oficerowie, żołnierze i aresztanci cywilni, z bardzo rzadkiemi minami.

Na drugi j stronie salonu stała młodzież zaciągająca się z własnej woli do wojska.

Tych przeznaczał do pułków podług własnej woli i kaprysu, nie zważając na ich chęci.

Nie cierpiał, jeżeli młodzież z Zabranych prowincyi chciała wstępować do wojska polskiego. Za wielką tylko protekcyą faworytów jenerałów, udawało się czasem, przy dobrym humorze wymódz na nim przychylenie się do prośby kadeta.

Gdy się już wszystkie ceremonie odbyły w pałacu, wychodził z niego przez główną bramę pieszo, a za nim wszyscy oficerowie na Saski plac, gdzie już uszykowana stała parada.

Paradę składali zwykle:

1. Jeden cały batalion gwardyi polskiej lub rossyjskiej, albo batalion 4go liniowego, lub saperów; a że te bataliony były mniejsze od gwardyjskich, więc do nich dodawano, po 2 kompanie wyborcze z pułków liniowych, stojących w Warszawie.

2 Z jazdy, jeden pluton gwardyi polskiej lub rossyjskiej, któren po paradzie stał przez 24 godzin w stajni na Saskim placu, i zwał się rozjazdowym.

3. Wszyscy jenerałowie, pułkownicy, stabsoficerowie, adjutanci pułkowi i batalionowi, znajdujący się w Warszawie.

4. Wszyscy starsi sierżanci i podoficerowie po dwóch z każdej kompanii, do odebrania paroli i rozkazów.

Porządek stawania był następujący:

a) Batalion służbowy plecami do odwachu pod białym orłem zwanego.

b) Kompanie dodatkowe plecami do sztabu placu.

c) Pluton kawaleryi i wszyscy podoficerowie, plecami do Saskiego Pałacu.

d) Wszyscy zaś zgromadzeni oficerowie plecami do stajni rozjazdowej, formowali trzecią ścianę czworoboku.

Major placu, podówczas pułkownik Axamitowski, odebrawszy od wychodzącego z bramy wielkiego xięcia rozkazy, siada na konia, staje na środku placu i całą komenderuje paradą.

Wojsko broń prezentuje, dobosze i trembacze biją *generał marsz.*

Wielki xiąże, zacząwszy od jazdy obchodzi ze świtą cały plac popisu.

Obszedłszy i pozdrowiwszy z osobna każden oddział, któren głośno odpowiada: *Życzymy zdrowia Waszej cesarzewiczowskiej królewskiej Mości!* po polsku lub po rossyjsku, podług tego jak wielki xiąże przemówi; staje na przeciw środku batalionu służbowego. Na komendę: *Na ra-*

http://rcin.org.pl

mię Broń! Całe wojsko stoi jak mur, z oczami zwróconemi na wielkiego xięcia. Na komendę *Bij zbór!* Dobosze biją zbór austryacki. Po odegraniu, major placu komenderuje: *Prezentuj broń!* i *na ramię broń!* po czem: *Panowie oficerowie i podoficerowie przed środek! Marsz!*

Po tej komendzie, wszyscy dowódzcy wart z miejsca swego, jak promienie do ogniska, maszerują krokiem podwójnym, nie zbaczając z dyrekcyi ani o linię, i stają na około majora. Ten znowu komenderuje: *Na warty dziel się!* Po tej komendzie, adjutanci batalionowi tych pułków co wartę dają, podnoszą prawą rękę do góry, i komenderują *Pierwszy pluton!* po tej komendzie, oddzielają się warty stosownie do potrzeby. Major placu komenderuje: *Panowie oficerowie i podoficerowie na swoje miejsca, Marsz!* Natenczas każdy zrobiwszy *lewo w tył*, wraca tą samą drogą, tym samym krokiem do swego oddziału i staje na prawem skrzydle swej warty. Na nową komendę: *Rachuj się!* Występują wszyscy razem o krok naprzód; przeliczają, czy są wszyscy ludzie pod bronią, co uskuteczniwszy, wracają znowu na prawe skrzydło. Major komenderuje: *Cała parada! do defilowania plutonami! Na odstęp plutonu! Dyrekcya na prawo! Krok podwójny! Marsz! Marsz!*

Cała parada rusza się, dowódzcy wart na czele swoich oddziałów obchodzą plac na około.

Przed pierwszym plutonem idzie muzyka, która zrównawszy się z w. xięciem, stojącym na prawo kolumny, zachodzi ztąd na przeciw niego, uważając na takt, jaki mu się wybijać podoba.

Oficerowie zbliżając się do w. xięcia, robią o pięć kroków pół obrotu w prawo i salutują szpadami, podoficerowie zwracają do niego twarze.

Po przedefilowaniu na około placu raz lub dwa podług rozkazu, udają się oddziały na swoje odwachy. Major placu odjeżdża ze środka i zsiada z konia. Poczem defilują jeszcze adjutanci i podoficerowie; formują kółko na środku placu, gdzie już na nich czeka gubernator miasta Lewicki, jenerał, od którego odbierają ustne parole; które odebrawszy, wracają do reszty oficerów.

Po odbytej całej ceremonii z piechotą, przykłada w. xiążę kułak do ust, i udając trębacza, daje sygnał plutonowi jazdy. Jenerałowie i pułkownicy kawaleryi sygnał ten na wyścigi tym samym sposobem powtarzają. Odsuwają się trębacze, pluton przykróca cugle i stoi w gotowości.

Nim drugi sygnał nastąpi, meldują się posyłki wszystkich pułków kawaleryi stojących w Warszawie, po jednemu podoficerowie i żołnierze konno w. xięciu; a po zameldowaniu i pojedyńczej czasem produkcyi, odjeżdżają do koszar.

Następuje drugi sygnał. Pluton defiluje lub maszeruje podług dalszych sygnałów. Nakoniec staje naprzeciw uszykowanego plutonu schodzącego z warty; luzuje go, i na komendę zsiada z koni, które do stajni zaprowadza.

Jeżeli obóz jest zebrany pod Marymontem, natenczas w. xiążę wprost z pałacu brühlowskiego pędzi z Kurutą do niego.

Wszystkich oczy zwrócone w stronę drogi idącej do miasta, a rozstawieni w pewnych odstępach żołnierze (machajłami zwani), dają sobie znaki jak telegrafy, o zbliżaniu się naczelnego wodza.

Jak tylko się powóz z daleka pokaże, obiegają ostatecznie szeregi jenerałowie, półkownicy, komendanci batalionowi i adjutanci, poprawiając, nakręcając, klnąc i szturchając żołnierzy, żeby zadowolnić oczekiwanie tego półbożka.

Powóz się zatrzymuje przed pułkiem mającym dawać wartę, i przed jego frontem odbywa się parada tym samym porządkiem jak na Saskim placu. Wszystkich oczy zwrócone na w. xięcia, wszyscy radziby wyczytać z tej srogiej twarzy, w jakim jest humorze, a tem samem, czego się mogą spodziewać.

Cichość największa panuje. Żołnierze stoją z bronią prezentowaną. W. xiążę siada na konia; objeżdża pułk dający wartę, czasami brygadę i dywizyę przygotowane rozkazem do defilu.

http://rcin.org.pl

Każdy pułk pozdrawia i każdy mu odpowiada, jakem to wyżej opisał.

Broń ciągle prezentowana. W. xiążę podaje komendę dowódcy pułku, który ma iść na czele defilu krokiem zwyczajnym czyli paradnym, podwójnym lub podwojonym.

Jeżeli humor dobry i brwi do góry, to chwali chrapliwym głosem: Dobrze! Doskonale! Charaszo!

Defil się kończy a parada zaczyna.

Jeżeli zaś co mu się nie podoba, to nic nikomu nie mówiąc, zsiada z konia, wskakuje do powozu i odlatuje do miasta.

Zostaje na jego miejscu Kuruta, któren nie mając rozkazu do przestania, przeciąga manewry póty, póki nie nadleci adjutant z rozkazem zakończenia.

Tymczasem oddziały przeznaczone na warty do miasta i obozu, idą bez parady na miejsce swego przeznaczenia.

Kuruta delikatnym swoim głosikiem wydaje jakieś komendy, wyglądając przybycia adjutanta. Zdarzyło się jednak kilka razy, że w. xiążę czy to przez zapomnienie (czego przypuścić trudno) czy chcąc naumyślnie dokuczyć, nie rozpuścił wojska aż koło godziny 10 w nocy.

Taka przygoda trafiła pewnego razu pierwszą dywizyę piechoty, która w największy grad i ulewę, sprowadzoną rozerwaniem się chmury, w wodzie po kostki stać musiała pod bronią do późnej nocy.

Paradą w obozie komenderował pułkownik dający wartę.

Takie były zwyczaje w. xięcia przed obiadem, po którym rzadko się już wojskiem trudnił; siedział w domu otoczony zausznikami, a wieczór jeśli nie był w teatrze, przepędzał u siebie w małem kółku i towarzystwie xiężny Łowickiej, dla której zawsze był bardzo delikatnym i grzecznym.

Już żandarmy na koniach stali na około placu, zamykając dochodzące do niego ulice; już oddział po oddziale wchodzi i staje na miejscu, wsunięty jak szuflada z taką precyzyą, że się ani kroku w lewo lub w prawo nie posuwa; już się zjeżdżają jenerałowie, sztaby i adjutanci, już wszystko gotowe do zaczęcia parady — gdy nagle z brühlowskiego pałacu, na czele ogromnego sztabu wychodzi w. xiążę. Axamitowski pułkownik komenderował paradą i stał na środku placu. W chwili zbliżania się w. xięcia do placu, zakomenderował major placu grzmiącym głosem *Smirna!*... Po tej komendzie wszystkie żyjące istoty co stały pod bronią, zamieniły się w nieruchome posągi.

Tego dnia gwardye rosyjskie dawały główną wartę, oprócz nich były oddziały piechoty liniowej polskiej, część szkoły podchorążych i pluton ułanów gwardyi rosyjskiej; dlatego komenda szła po rosyjsku.

W. xiążę wszedł w środek czworoboku; prezentowano broń, bębny wszystkie jenerał-marsz biły.

Zdrastwujte rabiata! zawołał chrapliwym ale donośnym głosem w. xiążę.

Zdrawia żyłajem! huknęli jak jeden wszyscy żołnierze; taki był zwyczaj, że jakim językiem się w. xiążę odezwie, takim mu odpowiadają, czy to Polacy, czy Moskale.

Na nową komendę pułkownika wszyscy dowódzcy wart, każden od swego oddziału oficerowie i podoficerowie razem, ruszyli do środka placu po rozkazy. Po odebranych rozkazach w tym samym porządku wracali do oddziałów. Zaczął się defil, muzyka grała, wszystkie oddziały obeszły plac krokiem zwyczajnym, potem podwójnym, w. xiążę był w doskonałym humorze, nogą i ręką takt dawał, i ciągle *charaszo*, *dobrze*, *doskonale* powtarzał. Wszystkich też twarze jaśniały radością.

Skończyła się parada, wojsko pomaszerowało. W. xiążę w mundurze małym kirysyerów gwardyi z akselbantami, jako pierwszy adjutant cesarza, obrócił się do otaczającej go licznej, świetnej świty; wszyscy salutując, zbliżyli się.

— Najjaśniejszy cesarz i król, Pan nasz miłosierny, robi nam zaszczyt, że przyjedzie do Warszawy, (to mówiąc trzymał rękę przy kapeluszu, wszyscy to samo robili, cała publiczność odkryła głowy). Pokażę JckMości woj-

http://rcin.org.pl

sko, które mam pod mojem dowództwem. Panowie, starajcie się, żeby JckMość i ja byli z was zadowolnieni. Wszyscy w milczeniu salutowali znowu.

Z Jego c. k. Mością przybędą xiążęta i jenerałowie całej prawie Europy; niech zobaczą i powiedzą światu, że takiego wojska jeszcze nigdzie nie widzieli. Znowu salutowanie.

Po tej apostrofie, wymówionej z promieniejącą twarzą, w. xiążę wziął jenerała Wincentego Krasińskiego pod bok, rękę przyłożył do kapelusza na znak pożegnania, pospieszył z nim do kocza, siedli, a kasztanki wiatrem poleciały. Uszczęśliwiony paradą, podziwiając doskonałość w wykonaniu każdej komendy, poszedłem ze Stanisławem do tej samej traktyerni na obiad; tam zastaliśmy dwóch podoficerów artyleryi: Bogusława z gwardyi artyleryi konnej, i Walerego z bateryi rakietników.

Ten ostatni, służąc przed dwoma laty w bateryi pozycyjnej, miał na rewii smutny wypadek. Komenderowany z plutonem w miejsce słabego oficera, strzelał; ale ogień szedł pomału. Przylatuje zobaczywszy to jakiś adjutant z rozkazem, żeby prędzej strzelali. Nie można, tłómaczył się Walery, bo jedno działo złe ogień się zakrada w skos, może się ładunek zapalić.

— Nie wezmą was diabli! krzyknął adjutant, strzelaj, taki jest rozkaz, 15 razy na minutę.

Za trzecim wystrzałem, nie mając czasu dobrze wyczyścić działa wiszerem, proch się zajął, i numerowi przybijającemu obydwie urwało ręce.

Zdegradowano Walerego, i cały rok skazany był do nabijania tegoż samego działa. Później awansował do kawaleryi, i pod Mińskiem zginął. Bogusław, dowiedziawszy się, że do wojska idę, zachęcał do artyleryi, mówiąc: że w. xiążę najmniej wtrąca się do tej broni, i że najwięcej mają wolności.

Po objedzie pojechaliśmy dorożką do obozu; wojska jeszcze nie było, tylko kwatermistrze wszystkich pułków z rzemieślnikami kończyli baraki, gracowali ulice, darniowali klomby, pozasadzane roślinami, kwiatami i drzewkami.

Baraki niektórych pułkowników wyglądały jak najgustowniejsze wile otoczone ogródkami. Ruch był wielki i niezliczone furgony zwoziły rekwizyta wojskowe i meble dowódzców. Namiotów jeszcze nie było; dopiero wojsko samo stawiało. Cała rzecz była na tem, żeby namioty wszystkie razem tak jak z ziemi wyrosły Pierwsze też onych ustawienie dwóch godzin nigdy nie trwało.

Wróciliśmy do miasta, obszedłem niektóre gmachy, a gdy już siódma zbliżała się godzina, zaprowadził mnie Stanisław na teatr, mówiąc:

— To już może ostatni raz będziesz widział, nim oficerem zostaniesz, żaden żołnierz ani podoficer na teatrze być nie może, pod żadnym warunkiem. Trafiło się przeszłego roku, że dwóch podchorążych ciekawych zakradło się na paradys i ukryci między kucharkami używali widowiska. Nie uszło to bystremu oku Jurgaszki; już dał rozkaz żandarmom, żeby ich aresztować; ale ostrzeżeni zawczasu jeszcze skręcili się, co tu robić? W tem jeden z nich donośnym głosem krzyknął: „Pali się!“ Przestrach wszystkich ogarnął; w tym zamęcie udało się podchorążym wymknąć ku wielkiemu umartwieniu Jurgaszki, któremu tę historyę w xiążę nieraz śmiejąc się przypominał.

Teatr był pełny. Fotele zajęte po największej części przez oficerów gwardyi rosyjskiej i cywilnych elegantów. W lożach generałowie i damy wielkiego świata, jaśniejące urodą, wdziękami i toaletą. Na parterze oficerowie linii i młodzież. Grano Horacyuszów; młoda Zuczkowska pierwszy raz w roli Kamili występowała, i grą swoją, która później do tak wysokiego stopnia doszła, że mogła stanąć obok pierwszych artystek Europy, wszystkich zachwycała. W. xiążę w loży bliskiej sceny, po lewej stronie, do końca bawił, i ciągle dawał oklaski. Po teatrze poszliśmy do przyległego obok restauratora Sullera na kapłona, większa część widzów tam się także udała, bo Suller z kapłonów słynął, i należało do dobrego tonu po reprezentacyi go odwidzić. Zjadłszy odprowa-

http://rcin.org.pl

dził mię jeszcze Stanisław do hotelu, podziękowałem za dzień mi poświęcony, w którym tyle interesujących widziałem przedmiotów; zastaliśmy mego protektora już przy herbacie.

— Jutro, powiedział mi, jadę do Miłosny na przeciw pułku, żeby razem z nim pomaszerować do obozu; dla ciebie ta kwatera będzie za drogą, trzeba, żebyś się o tańszą postarał na te kilka dni.

Stanisław mi swoją ofiarował; przyjąłem z wdzięcznością.

— Jeszcze nie wiem nic pewnego, powiedział major, kiedy nastąpi twoje przedstawienie; na każden sposób przychodź co dzień po obiedzie do obozu, do mojego baraku, żeby być gotowym na każde zawołanie.

Minęło kilka dni, w których starałem się ile możności poznać Warszawę; odwidzałem co dzień majora, bawiąc w obozie do capstrzyku.

Niespokojny w tem długiem oczekiwaniu, idę dnia jednego zamyślony do obozu, wchodzę do majora; zastałem go piszącego, chciałem się cofnąć, żeby nie przeszkadzać, ale się obejrzał i spostrzegł mnie.

— Dobrze żeś przyszedł; wyrobiłem, że jutro o godz. 10tej będziesz przedstawiony w. xięciu. Ubierz się czysto; frak zapnij pod szyję, włosy podstrzyż jak najkróciej, weź dorożkę, żeby cię zawiozła do brühlowskiego pałacu; każ stanąć o podal, pójdź piechotą śmiało w bramę; koło niej, zapytaj weterana stojącego o pułkownika Trembickiego; właśnie kończę do niego list, któren mu wręczysz, a on ci dalsze da rozkazy.

Zapieczętował, podpisał list i oddał mi go z zaleceniem, żeby nie pomiąć.

— Chodź teraz za mną, przedstawię cię naszemu pułkownikowi. — O paręset kroków stała baraka pułkownika, w niej chodził pułkownik, dyktując coś swemu adjutantowi. Zatrzymał się, przywitał majora, któren mu mnie prezentował.

— A, to ten młody Galicyanin, o którym mnie mówiłeś — majorze?

— Ten sam — panie pułkowniku.

— Pamiętaj młodzieńcze, żebyś majorowi wstydu nie zrobił.

— Po prezentacyi w brühlowskim pałacu, przyjdziesz zameldować się panu adjutantowi. Bądź zdrów. Na tem się skończyło całe przedstawienie.

Ukłoniłem się nisko, i poszedłem wolnym krokiem do baraku majora, żeby mu podziękować. Przyszedł też wkrótce; chciałem ucałować jego rękę, ale nie dozwolił, uściskał mnie i rzekł:

— Zrobiłem com mógł i com rodzicom twoim obiecał; teraz już od ciebie zawisło iść naprzód. Wracaj do Warszawy, i pamiętaj co masz czynić.

Biegiem prawie stanąłem w stancyi Stanisława, rzuciłem mu się na szyję i opowiedziałem, że od jutra zaczynam tak pożądaną karyerę wojskową. Nazajutrz wstałem przededniem; pobiegłem do fryzyera żeby się ostrzydz i brodę ogolić, na której prawie jeszcze nic nie było. Wracając, wstąpiłem do kościoła, gdziem się gorąco pomodlił, prosząc Boga, żeby mi się dobrze udała ta przeprawa z wielkim xięciem.

O ósmej, ubrawszy się, uściskałem Stanisława i pobiegłem na plac gdzie dorożki stoją; w obawie, żeby się nie porozjeżdżały. Każdy to pojmie, co miał kiedykolwiek ważny interes, jaką brak fiakra w czasie danym może mu zrobić różnicę. Masa dorożek stała. Zobaczywszy, że się do nich zbliżam rano już uroczyście ubrany, kilkadziesiąt głosów się odezwało:

— Ja z panem pojadę.

Wybór mój padł na parę dobrych koni i ogromnie wąsatego furmana.

— Gdzie pojedziemy?

— Do brühlowskiego pałacu, biorę cię na godzinę.

W miarę zbliżania się do pałacu brühlowskiego, serce coraz mi więcej biło; fiaker stanął o kroków kilkadziesiąt przed nim; wskazał mi którędy mam iść, zeskoczył z kozła, otworzył drzwiczki, pokiwał głową litościwie, a ja poszedłem.

http://rcin.org.pl

Przyszedłszy do głównego wchodu, zapytałem grzecznie stojącego w bramie siwego, pokiereszowanego weterana, ale jeszcze żwawego starca, o pułkownika Trembickiego. „Co pan chcesz od niego?“ „Mam list od pana majora K.“ — odpowiedziałem. „Jeszcze go nie ma, ale w tej chwili nadejdzie; stój pan tu, a ja mu go wskażę.“

Weteran jak każdy w ogólności stary żołnierz, był gaduła; zapytał mnie, co mam za interes. Nie widziałem przyczyny tajenia przed nim, że chcę wejść do wojska. Spojrzał na mnie ciekawie, zażył tabaczki, chciał wąsa pokręcić, ale przekonawszy się, że go nie ma, (bo weteranom nie wolno było wąsów nosić), splunął i rzekł: „Że też to się człowiek z dawnego nałogu wykurować nie może.“ — Zaczął mi opowiadać, jak służył, był podoficerem, (brygadyer) u chweaulegerów gwardyi Napoleona, i wyrzekłszy to nazwisko niby z niechcenia, przyłożył rękę do kaszkietu. Już zaczął wpadać na kampanię hiszpańską, gdy weszło w bramę kilkunastu żołnierzy w gatkach i płaszczach, a za nimi kilka razy tyle innych z różnych pułków kawaleryi, niosących coś ponakrywanego i obwijanego. Zafrapowała mnie ta procesya. „Co to jest?“ — spytałem weterana. „To nic; to posyłki kawaleryi, co się mają w. xięciu meldować; tu ich ubierają, żeby czysto wystąpili.“

Coraz więcej przybywało z różnych stron rozmaitych wojskowych do pałacu. Weteran już nie miał czasu dalszej ze mną prowadzić gawędy, musiał salutować oficerom, i odpowiadać na zadawane sobie zapytania. Po pół godzinie zajechał dorożką pułkownik Trembicki; weteran wystąpił, salutując go parę kroków naprzód; wskazał mnie ręką i rzekł: „Ma list do JWgo pułkownika.“ Pułkownik zmierzył mnie oczami.

— Jak się zowiesz? Józef Z. — odpowiedziałem, kłaniając się i oddając mu list. Szybko rozerwał kopertę, przeleciał pismo.

— Mówił mi o tobie wczoraj major K., chodź ze mną.

Weszliśmy do dużej na dole sali; po prawej stronie stało już kilku takich jak ja aspirantów do wojska; między innymi był młody człowiek, dość przystojny, średniego wzrostu, bardzo biały i różowy, z włosami trochę rudawemi, nadzwyczajnie czysto i starannie, ale skromnie czarno ubrany; rozmawiał dosyć poufale z rosyjskimi jenerałami. Był to Monroe, syn ówczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej. Oprócz niego było — ile pamiętam — dwoch Komarów z Ukrainy i Ruszczyc z Litwy, z bardzo wesołą i sympatyczną fizognomią, znany później w całej Warszawie z dowcipnych figlów, jakie płatał w szkole podchorążych kawaleryi.

Dał się wkrótce słyszeć w odległości turkot pojazdu w. xięcia. W okamgnieniu stanęli w sali wszyscy na swoich miejscach. Nas ustawił jakiś adjutant w szereg, na prawo Monroi, obok niego Komary, dalej Ruszczyc, a na lewem skrzydle ja. Staliśmy tak w milczeniu przeszło pół godz.; po upływie tego czasu otworzyły się podwoje, wszedł w. xiążę, a za nim generałowie, pułkownicy, sztabsoficerowie, adjutanci bez liku. W. xiążę był w doskonałym humorze, obszedł salę, mówił z wieloma, nakoniec zbliżył się do nas. Generał adjutant Fentsch przedstawił mu nasamprzód Amerykanina, który wręczył w. xięciu list od ojca, proszącego, żeby raczył umieścić syna w którym z pułków polskich ułanów, ażeby pod dowództwem tak dzielnego wodza uczył się sztuki wojennej. W. xiążę długo z nim rozmawiał po francuzku, podobały mu się bardzo trafne odpowiedzi zaatlantyckiego młodzieńca, przeznaczył go do pułku gwardyi rosyjskiej konnopolców, i kazał do siebie dziś przyjść na obiad. Postąpił dalej, Komary choć niebardzo eleganckie figury, podobały mu się, bo sobie życzyli wstąpić do gwardyi rosyjskiej. Ruszczyc prosił o umieszczenie w 2 pułku ułanów.

— Z jakiej guberni jesteś?

— Z Grodzieńskiej, W. c. k. Mość.

— Dobrze, zapisać go do pułku gwardyi huzarów grodzieńskich, który się teraz formuje.

http://rcin.org.pl

Ruszczyc spuścił nos na kwintę, ale na taki firman nie było apelacyi. Przystąpił do mnie; pułkownik Trembicki przedstawił mnie dodając, że chcę wstąpić do 2 pułku strzelców pieszych.

— Dobry pułk, dobra szkoła dla młodzieży. Zapisać go do 2 pułku strzelców pieszych.

Potem skłoniwszy się wszystkim, wyszedł na Saski plac, a za nim wszyscy wojskowi. Nam się kazano zatrzymać, wkrótce wręczył adjutant każdemu z nas kartkę z przeznaczeniem do pułku, i z rozkazem zameldowania się swemu przyszłemu dowódzcy. Parada warty odbywała się tymczasem zwyczajnym trybem; a ja pospieszyłem do czekającego fiakra. Ten zobaczywszy mnie z rozpromienioną twarzą, rzekł:

— A co tam panie?

— Wstąpiłem do wojska.

— Pewnie do ułanów?

— Nie, do 2 pułku strzelców pieszych.

— Jezus Marya! zawołał, szkoda! — Zatrzasnął drzwiczki pojazdu, pociągnął biczem biedne szkapy, i ruszył niemówiąc już ani słowa. Przyznam się, że mnie te kilka słów fiakra trochę zaniepokoiły. Zmiarkowałem, że to stary żołnierz i że musi znać skład wojska; alem sobie znowu tłómaczył, że pewnie służąc w jeździe ma antypatyę do piechoty. Stanęliśmy przed stancyą Stanisława, wysiadając, zapłaciwszy i dawszy parę złotych poczesnego woźnicy, zapytałem, czy był w wojsku?

— A jużci że byłem dawniej w 16 pułku ułanów pułkownika Tarnowskiego, z którym z Wołynia przyjechaliśmy w r. 1809 do Galicyi. Byłem masztalerzem u hr. Stadnickiego w domu, ale jak się pułk formował, wolałem wywijać lancą jak nosić liberyę; chociaż to bardzo dobre było panisko. Za nowej organizacyi przydzielono mnie do 4 pułku ułanów; dobry to pułk, najwięcej starych wiarusów, ale dawne rany dokuczać zaczęły; trudno było proszę pana dotrzymać, a tu raz na raz musztra to piechotą, to na koniu, i latem i zimą; a już to nam najgorzej dojadała ta piesza służba; jakieś tam balansowanie, jakieś składane kroki. Tfu! na sto djabłów ułana uczyć jak ma chodzić? At, aby dotarł do szkapy i wydrapał się na barana, to już i dosyć. Ułan na koniu, czapka na uchu, lanca na temblaku, a pałasz przy boku, to się aż djabli śmieją: ale jak przymuszają po ziemi nogami wywijać, to do psa niepodobny.

— I dla tego porzuciłeś wojsko?

— A dlatego proszę pana najwięcej. Namawiali mię, żebym się podał do weteranów, ale (tu się naokoło obejrzał) te szelmy co tam w sztabie wymyślili, żeby weteranom wąsy golić? Boże miłosierny! Wolałbym w szabas rabina na rożniu upiec i słoniną smarować, jak dotknąć się brzytwą tych wąsów, przed któremi niejeden wróg zadrżał.

I zabierał się siadać na kozioł.

— Powiedz mi bracie — zapytałem — dla czegoś głową kręcił, jakem ci powiedział, że do 2 pułku strzelców wstępuję?

— Ot tak sobie, proszę pana — a zaciąwszy konie obrócił się, i rzekł odjeżdżając — sam pan zobaczy — i zniknął na załomie ulicy.

Pospieszyłem na górę. Stanisława nie było, już pisał w biórze. Poleciałem do bióra, wywołem go, ażeby opowiedzieć mój poranek. Głodny, bom do tego czasu nic w gębie nie miał, zaprosiłem Stanisława na śniadanie, które po emocyach tego poranku bardzo smakowało. Opowiedziałem wszystko com widział i słyszał, oraz jakie dostałem przeznaczenie, i chciałem natychmiast jechać do obozu, aby się pułkownikowi zameldować. Lecz Stanisław, który lepiej odemnie znał zwyczaje starszyzny, wyperswadował mi, żeby ten krok odłożyć do popołudnia, gdyż o tej porze wszyscy oficerowie prócz dyżurnych są pewnie w Warszawie, i miał racyę. Wrócił do bióra, wymyślił przed naczelnikiem jakiś ważny interes, wziął kapelusz i poszliśmy na Staremiasto.

— Zróbmy rewizyę twojej garderoby, która ci się od chwili, jak mundur dostaniesz, na nic nie przyda; trzeba wyszukać żydka, żeby ją otaxował, i dał ci zadatek, bo może, jak raz dostaniesz się do obozu, nie będziesz miał czasu łazić za tem Poszliśmy na ulicę

http://rcin.org.pl

Franciszkańską. Stanisław wyszukał znajomego mu tandeciarza, któren z nami poszedł; po szczegółowem obejrzeniu wszystkich moich manatków, które na wszystkie boki obracał i przewracał, po długiem harkotaniu i targowaniu się stanęła ugoda.

Za wszystko com posiadał z odzieży obiecał mi 93 złotych, groszy 15; na zadatek dawał 10 zł. pod kondycyą, jeżeli gospodarz zaręczy, że za parę dni przyjdzie do swej własności. Zeszliśmy na dół, gospodarza nie było w domu, gdyż jako drwal poszedł nad brzeg Wisły odbierać przystawione dla siebie kłody. Gospodyni tłusta, poczciwa mieszczanka, na porękę Stanisława, którego dla jego humoru wesołego bardzo lubiła, zaręczyła żydowi za mnie. Ten nas opuścił, kłaniając się i napominając, żebym przez te parę dni nie podarł sukien. Wyszliśmy znowu na miasto dla przejścia się i pogawędzenia przed obiadem. Na zapytanie, dla czego fiakier wykrzyknął *Jezus Marya* jak się dowiedział, że idę do 2 pułku strzelców pieszych, odpowiedział:

— Może fiakier miał racyę, bo twój przyszły pułkownik słynie w armii za bardzo surowego, nawet tyrańskiego dowódzcę. W. xiążę bardzo go lubi, i ma w nim zaufanie do tego stopnia, że jeżeli jaki podchorąży w gwardyi co zbroi, to go na poprawę do pułkownika Czyżewskiego poseła. Przytem druga nieprzyjemność. Pułk ten zawsze i ciągle stoi w twierdzy w Zamościu, tam i służba cięższa, i odpowiedzialność większa niż w każdym innym garnizonie.

Przypomniały mi się w tej chwili słowa w. xięcia w pałacu Brühlowskim, powiedziane: „dobry to pułk, dobra szkoła.“ Mrowie przeszło mię na to opowiadanie po za skórą, ale już nie było rady. Zapytałem jeszcze, dla czego mój protektor major nosi mundur z amarantowym kołnierzem, kiedy cały pułk ma tylko żółte wypustki.

— To znowu inna historya, — rzekł Stanisław. — Major jest niezawodnie jeden z najlepszych sztabsoficerów, instruktorem w armii; ale do każdej innej służby, w której więcej samoistnie działać trzeba, do niczego. Przed rokiem w. xiążę litując się nad jego zdrowiem, nadwerężonem kilkunastu ranami, odkomenderował go na komendanta placu do Kalisza. Jest to posada bardzo ważna, bo miasto położone nad granicą pruską wymaga wielkiej baczności komendanta na przejeżdżających, żeby jak to się wówczas nazywało, nie wnosili do kraju idei demagogicznych.

Major nie pojął swego stanowiska, wkrótce po objęciu komendy zrobił jakąś okrutną burdę ze studentami. Zaskarzono go o gwałtowność i brutalstwo. Skargi nietylko z Kaliskiego, ale i od rządu w. xięstwa Poznańskiego, przyszły na majora. W. xiążę odwołał go z Kalisza, dał na reformę, to jest zredukował go na połowę gaży, przydzielił do pułku 2go strzelców, ale mu nie wolno nosić munduru pułkowego, tylko tak nazwany w wojsku mundur reformatów. Major zły, odbije się na skórach żołnierzy swego batalionu, ale z pułkownikiem znoszą się doskonale.

Po tych i tympodobnych opowiadaniach Stanisława, któren w ogólności bardzo był miłym i dobrym towarzyszem, zjadłszy razem obiadek u znanego Serba, pojechałem do obozu.

O 3ciej po południu siadłem do dorożki, w miarę zbliżania się spotykałem mnóstwo pojazdów, udających się do obozu. Czas był prześliczny, w otwartych pojazdach i dorożkach wytwornych, rysakami zaprzężonych, jechali generałowie i wyżsi oficerowie polscy i rosyjscy, z niektórymi wystrojone elegancko damy, w innych powozach same damy, otoczone świetnym orszakiem młodych oficerów, galopujących i umizgających się do koła na dzielnych koniach. Fiakrami spieszyli niżsi oficerowie, a między tymi jeszcze furgony z meblami i wazonami rzadkich krzewów.

Z mężczyzn cywilnych prawie nikogo nie spotykałem.

Obóz był ustawiony następującym sposobem:

W pierwszej linii dwa pułki gwardyi rosyjskiej, to jest grenadyery na prawem a strzelcy na lewem skrzydle, za nimi baterye gwardyi artyleryi rosyjskiej pieszo.

http://rcin.org.pl

W drugiej linii grenadyery gwardyi polskiej i batalion saperów na lewem skrzydle.

W trzeciej wszystkie kompanie wyborcze piechoty liniowej i strzelców pieszych.

W czwartej pierwsza dywizya piechoty polskiej w dwóch liniach brygadowych.

W piątej dwie dywizye tymsamym porządkiem.

W szóstej wszystkie baterye artyleryi pieszej brygadami.

Przed każdą dywizyą na czele barak jenerała dywizyi, po obóch stronach po środku brygad baraki jenerała brygad, o kilkadziesiąt kroków ku linii wojska, po środku każdego pułku baraki pułkownika, przed batalionami baraki sztabsoficerów, za frontem baraki kapitanów, oficerów niższych, starszych sierżantów, komora pułkowa, a w pewnej odległości kuchnia i kantyny.

Na czele całego obozu w stosownej odległości główny odwach, na któren zaciągała cała kompania. Przy każdym zaś pułku mniejsze odwachy. Naokoło obozu o paręset kroków wedety piesze w równych odstępach, obrócone plecami do obozu.

Generałowie, pułkownicy sadzili się na przyozdobienie swych baraków, wszystkich w ogólności biało pomalowanych, zakładając obok nich bardzo gustowne ogródki, które ich kosztem przez cały rok utrzymywane, coraz się piękniejszemi robiły. Wszystkie ulice i ścieżki były okładane po bokach darniem, w posuchę po kilka razy na dzień polewanym, wysypane czystym piaskiem, który ciągle grablami i miotłami równany, tak był utrzymywany, jak gdyby nikt tamtędy nie chodził. Namioty żołnierskie, każdy na 6 ludzi, czyste białe płótna powyciągane postronkami, żeby najmniejszej nie było zmarszczki. Pośrodku każdego namiotu był dół wykopany w ziemi na 2 stopy prawie, tak że ziemia wyrzucona na około formowała ławki, i nie dozwalała wodzie zalewać namiotu w czasach ulewy. Widok takiego obozu rzeczywiście był czarujący, koło odwachu po obu stronach była broń ustawiona na etażerkach w okrągłe świecące się kolumny.

Codziennie rano wystrzał z armaty dawał sygnał do pobudki. Jak jedna ręka, jak jedne piersi, wszystkie bębny zagrzmiały, wszystkie trąby, czyli tak zwane w piechocie rogi napełniały powietrze chrapliwemi tonami. To samo działo się wieczór w czasie capstrzyku.

W nocy patrole przechodziły kilka razy pomiędzy linie obozowe, zbierając i aresztując włóczących się żołnierzy i kobiet, a ronty obchodziły łańcuch wedet, pod dowództwem *Gewaltigera* (obożnego), na on czas majora Uziębły.

W całym obozie cichość przerywana tylko chrapaniem na różne głosy zmordowanego żołnierza; zaszczekaniem psa (bo trzeba o tem wiedzieć, że w każdym obozie czy to w czasie wojny czy w pokoju, zawsze się dużo psów trzyma, które po większej części nie mają właścicieli tylko jak ochotniki występują) lub pęknięcie odtykającej się butelki szampana, dźwięk złota i śrebra na zielonych stolikach graczy w barakach wyższych oficerów, szczególnie Moskali.

Poszedłem prosto do mego protektora, który mnie się ze zwykłą swoją słodyczą na twarzy wypytywał o przedstawieniu u w. xięcia. Na zapytanie co mam dalej robić, zawołał ordynansa, i kazał mnie zaprowadzić do adjutanta pułku. Pan adjutant dosyć młody, ale nieprzyjemnego oblicza porucznik, odebrawszy kartkę daną mi w Brühlowskim pałacu, kazał mi czekać koło drzwi, poczem zaczął się powoli myć i ubierać, łając ciągle swego fagasa. Trwało to dobre pół godziny, nakoniec zapiął mundurowy surdut, kazał się jeszcze raz miotełką oczyścić, przypasał szpadę, wziął kaszkiet na głowę, przejrzał się po raz ostatni w podanem źwierciadle i rzekł:

— Chodź ze mną.

Poszliśmy do pułkownika. Kazał mi czekać koło drzwi na dworze, sam wszedł z moją kartką do baraku. Z początku coś dosyć cicho mówili, czyli raczej nadto byłem zajęty sobą, żeby podsłuchiwać; ale na zapytanie głośne: — Czy mam go panu pułkownikowi przedstawić? odpowiedział pułkownik jeszcze głośniej

http://rcin.org.pl

— Już widziałem raz to kadeckie psie ścierwo; każ go panie adjutancie zapisać do 2 batalionu, niech się tam major K. bawi z tym galicyjskim elegantem!

Coś tam znowu cicho ze sobą gadali, ale już nie dosłyszałem, bo mi się obraz i słowa wąsatego fiakra zwijały po głowie. Wyszedł adjutant, kazał znowu iść za sobą do swego baraku i posłał ordynansa po starszego sierzanta kompanii 2, Żelskiego. Ja stałem u drzwi, gdy ten wkrótce nadszedł. Adjutant rzekł do niego oddając mu kartkę:

— Z rozkazu pana pułkownika zapisz wasan tego nowego kadeta do 2 kompanii 2 batalionu, wydać i dopasować całe umundurowanie, broń i lederwerki, a jak tylko będą dopasowane laibik i czechczery, niech zaraz staje z tymi kilkunastu nieukami za obozem do nauki.

— Dobrze panie adjutancie— odrzekł sierzant, przyłożył prawą rękę do kaszkietu, zrobił lewo w tył, i rzekł do mnie:

— Chodź kolego! — i poszliśmy razem do jego baraku.

Posłał po batalionowego krawca, któren zaraz się stawił, kazał mu wziąć miarę, którą krawiec brał z wszelkiemi formami należącemi do rzemiosła majstra, co ma honor ubierać wojsko polskie, wojsko w. xięcia, wojsko najpiękniejsze w Europie. Kazał mi się nasamprzód rozebrać do koszuli, potem ścisnął mnie paskiem umyślnie na ten cel przyniesionym, że aż mi się duchy zaparły; kazał wydąć piersi, podnieść głowę, wyprostować się; i dopiero mierzył mnie szlakiem na wszystkie strony, powtarzając po razy kilka jedną miarę czy się zgadza. Gdy skończył, zapytał sierzant:

— Kiedy będzie gotowa robota?

— Lajbik, czechczery i płaszcz na jutro wieczór, reszta za dwa dni.

— Dobrze, tylko pamiętaj, że ja to dziś jeszcze zamelduję p. adjutantowi, a p. adjutant p. pułkownikowi; pamiętaj, żeby znowu tak nie było, jak przed wymarszem z Zamościa!

— Nie bój się p. sierzancie, jeszcze mnie krzyże od tych łańcuszków bolą, nie mam ochoty drugi raz ich próbować — skłoniwszy się poszedł.

Sierzant Żelski był to prawdziwy typ dobrego starego żołnierza. Dwa krzyże i trzy szewrony dowodziły: pierwsze waleczności, drugie 20 lat służby, bo ją jeszcze w legionach zaczął. Średniego wzrostu, całkiem prawie łysy, barczysty, dosyć dobrej tuszy, z żywemi ruchami, wesołą twarzą; lubiony był, jakem się potem przekonał od wszystkich; i nawet trochę poważany przez pułkownika, a co więcej przez mego majora. Służbista, jakiego może w całej armii nie było; nigdy nikomu szkodzić nie lubiał, a swą dobroduszną jowialnością, serca do siebie garnął.

Zapytał mnie czy mam gdzie mieszkać w Warszawie; bo w obozie jako dla cywilnego jeszcze na dziś miejsca nie ma. Opowiedziałem mu cały mój sposób wstąpinia do wojska, podróż do Warszawy, i pobyt w kwaterze Stanisława.

— O znam tego Stanisława, bywa czasem w obozie u mego kolegi Grabowskiego, z grenadyerów gwardyi, wszyscy go dla wesołości bardzo lubimy. Ale słuchaj no kolego, idź sobie jeszcze raz przenocować pod dachem, i posprzedawaj cywilną odzież.

— To już zrobione — odpowiedziałem.

— Jeżeli masz pieniądze, to ci życzę sprawić sobie cienki mundurek na swoją paradę. Nie bez tego, żebyś w garnizonie nie porobił znajomości, i nie bywał w domach przyzwoitych; to jakoś lepiej jak w grubym suknie. które mieć będziesz do służby i na paradę. Jeżeli chcesz kolego, to ci sukna nabiorę od kupca, któren całemu pułkowi dostarcza, a krawiec batalionowy zrobi; to ci taniej wyniesie jak w Warrzawie.

Podziękowałem serdecznie poczciwemu sierzantowi, i wybierałem się już nazad, gdy mi sierzant rzekł:

— Jutro po południu przed czwartą staw się do mnie, wydam ci wszystkie efekta, broń

http://rcin.org.pl

i lederwerki; wieczór się przebierzesz; tu już zostaniesz, a pojutrze po pobudce na naukę!...

Ścisnęliśmy sobie ręce, poleciałem pieszo do Warszawy. Pierwszem mojem staraniem było wynaleść znanego tandeciarza, wziąłem go z sobą, oddałem mu kupione suknie, oprócz tych w których jeszcze raz ostatni musiałem pójść do obozu, wyliczył mi pieniądze, a pojutrze obiecał przysłać swego żydka po resztę garderoby. Zasiadłem do stolika, ażeby napisać list do rodziców; napisawszy, poskładałem w jak najmniejszy węzełek kilka koszul, parę ręczników, trochę chustek do nosa i szkarpetek, żeby z sobą zabrać. Odniosłem już zmierzchem list na pocztę, ztamtąd udałam się do kawiarni Marysi Brzezińskiej koło arsenału; gdzie daliśmy sobie *rendezvous* ze Stanisławem na przypadek, gdybym z obozu wrócił. Zasiadłem w sali bilardowej; dużo było młodzieży najwięcej akademików, grających, pijących, i niezmiernie żywo gadających. Nadszedł Stanisław serdecznie uradowany z mego przybycia. Kazaliśmy sobie dać kawę w osobnym pokoju, dużo i długo gadaliśmy z sobą, poczem przeszedłszy się do późnej nocy po ulicach miasta, udaliśmy się na spoczynek. Spałem jak zabity i długo: tak jak gdybym był chciał zapas snu wziąć z sobą do obozu. O godzinie 10 byłem na mszy u kapucynów i szczerzem się modlił, żeby mnie Bóg od jakiego nieprzewidzianego nieszczęścia zachował.

Połaziłem jeszcze trochę po pięknej Warszawie, zjadłem ze Stanisławem ostatni obiad po cywilnemu, odprowadziłem go do stancyi, a o 3ciej posłałem stróża po dorożkę, uścisnęliśmy się ze łzami prawie w oczach, zabrałem moje małe zawiniątko i ruszyłem do obozu.

Zastałem sierzanta piszącego, kazał mi usiąść na ławce. nim dokończy jakieś rachunki. Skończywszy wstał, krzyknął na ordynansa, i posłał go po żołnierza Cybulskiego.

— Cybulski będzie odtąd twoim towarzyszem, pomocą i nauczycielem w życiu obozowem; porządny, stary żołnierz, pokaże ci jak broń czyścić, lederwerki czernić i glansować, tornister opakować, bo to wszystko trzeba sa-

memu doskonale umieć, żeby wszystkiego później drugich nauczać i pilnować, żeby podług formy było.

Nadszedł Cybulski, przystojny, ciemnej twarzy żołnierz, z dwoma szewronami stanął wyprostowany.

Oto jest nowy kadet, Józef Z. — rzekł sierzant — będziesz jego towarzyszem; wiesz co młodego trzeba uczyć? „Wiem p. sierzancie.“ Pamiętaj że z początku za wszystko odpowiesz: „Będę pamiętał, p. sierzancie.“ Teraz idź, i oczekuj nas koło komory. —

O kilka kroków od baraku sierzanta stał barak z komorą, koło drzwi szyldwach. Weszliśmy; w jednym kącie stała broń, trochę zardzewiała, obok niej na szaragach wisiały nieposkładane lederwerki, na półce patrontasze, dalej znowu wisiały tornistry, a nad niemi stały kaszkiety. W pace jednej była masa trzewików, w drugiej bielizna poukładana w najmniejszy format, każden rodzaj osobno, w trzeciej paczce kordony do kaszkietów i halsztuki sukienne; w czwartej felcechy wełniane i srebrne, galonki podoficerskie, guziki, haftki, nici i jedwab. W ostatniej dużej pace parę postaw sukna granatowego, sieraczkowego, trochę żółtego i czarnego. Obok tego kilka koców białych. Na osobnych deskach leżały gotowe mundury kompletne, pozwijane starannie. Na każdym zwoju nazwisko żołnierza. Był to nowy komplet, używany jedynie na wielkie wystąpienie. Sierzant kazał Cybulskiemu wybierać wszystko co dla mnie potrzebne. Cybulski zaczął od broni, przerzucił kilka sztuk, w każdej próbował zamki, brał na ramię, przykładał się, uderzał ręką dla „szlagu“, wyciągał ladsztok, zdejmował i nakładał bagnet po kilka razy; nakoniec przypadł mu jeden karabin do smaku, odstawił go na bok, a sierzant w pularesie zanotował numer. Zaczął potem ściągać z kołków pasy skórzane szerokie i wązkie, ze sprzączkami i bez sprzączek, w takiej ilości, żem w głowę zachodził co z niemi począć; powybierawszy wszystko, i gdy już pozapisywał sierzant w pularesie, wyszliśmy z komory. Cybulski zabrał wszystko do namiotu, ja posze-

http://rcin.org.pl

dłem z sierzantem, który mi dał xiążeczkę, wpisawszy w nią moje imię.

W takiej xiążeczce na pierwszych kartkach wydrukowane były „Artykuły wojenne“, tj. kodex wojskowy francuzki. Dalej rubryki, gdzie się wciąga wszystko co żołnierz wybiera oraz kary i nagrody, jeśli jakie otrzymuje, np. kary przez sąd wojenny zawyrokowane, bo te co ustnie wyżsi i niżsi oficerowie udzielali, szły w niepamięć.

Wkrótce przyniósł krawiec obiecaną robotę. Sierzant wszystko wpisał w xiążkę, kazał krawcowi zabrać i czekać przed namiotem, którego mu numer powiedział.

— Zostaw u mnie tymczasem twoje zawiniątko, koledze Cybulskiemu za pomaganie będziesz płacił na miesiąc 2 złote, a jeżeli chcesz, żeby cię koledzy twoi w namiocie polubili, to im na okup daj 5 złp. Co się dotyczy jedzenia, dostaniesz go wraz z żołnierzami, co z tobą stoją, albo jeżeli chcesz i masz pieniądze, to się przyłącz do naszego menażu. Jest nas czterech, dodajemy po kilka złotych miesięcznie i jemy trochę lepiej.

— Darujesz panie sierzancie, że z jego grzeczności korzystać nie mogę, przedsięwziąłem sobie dzielić wszystkie prace i pożywienie moich nowych kolegów, póki moją usilną pracą nie zasłużę sobie na galonki.

— Dobrze robisz kolego; to ci zjedna wzięcie między żołnierzami, a to niemała rzecz i niełatwa do nabycia. Teraz chodź do namiotu, zobaczymy jak się krawiec popisał.

Wszedłszy do namiotu już zastałem trzewiki wyczernione i wyglansowane, zacząłem się ubierać w same skarbowe szczegóły. Bielizna wprawdzie niebardzo cienka, ale biała, niegryząca, trzewiki trochę ciężkie ale wygodne, czechczery leżały jak ulane; ścisnęli mnie krawiec z Cybulskim we dwóch tak w pasie, że cała krew do głowy bić zaczynała (taka była podówczas moda w wojsku: później z powodu częstego zapadania żołnierzy na bole oczu zfolgowano ściskanie) zapięto mi halsztuk na szyi ciasno, lajbik dokończył stroju. Sierzant obrócił mnie parę razy na około, poklepal po ramieniu krawca, i zalecił pospiech z resztą umundurowania.

— Wszystko dobrze, tylko z temi włosami wyjść na krok nie możesz, bo byś łatwo pierwszą noc obozową przepędził na odwachu.

Na to Cybulski:

— Już tam czeka Brzozka z nożyczkami.

Brzozka, młody żołnierz, cyrulik i fryzyer całej kompanii, zwinny, zręczny, dowcipny, i wielki figlarz, ale przytem taki ostrożny i uważny na wszystko co go otacza i kto na niego patrzy, że choć przez pustotę niejednemu dokuczy, to się tak dowcipnie wykręci, i taką poczciwą i niewinną zrobi minę, że go nigdy kara żadna nie spotyka. Wziął się do mojej głowy, ostrzygł przy samej skórze równiuteńko, dobył z kieszeni małe jak rubel lusterko, kazał mi się przejrzeć i zapytał:

— Może pan kadet każe sobie pozapiekać włosy? zaraz żelazko przyniosę...

Wszyscy żołnierze w śmiech z tego konceptu, którego się pewnie spodziewali, i ja się serdecznie roześmiałem. Brzozka udając warszawskiego fryzyera, bardzo zgrabnie się ukłonił, podstawił furażerkę:

— Co łaska!

Dałem mu 15 groszy. Zadowolony wyszedł z namiotu.

— Teraz koledzy, kiedy razem w tym namiocie stać mamy, powiedzcie mi wasze nazwiska, ażebyśmy się lepiej poznali. Ofiaruję 5 złotych, żeby was poczęstować... to mówiąc dobyłem małego talarka z sakiewki, i dałem do rąk Cybulskiemu, który pobiegł do markietanki, przyniósł flaszkę niewielką kwadratową wódki, kilka bułek i sera owczego, nalał blaszany kieliszek i rzekł:

— Niech pan kadet do nas wypije! — nie mogłem odmówić. Kieliszek poszedł koleją, bułki i ser w mgnieniu oka zniknęły; poczem pokazał kolegom resztę pieniędzy:

— To będzie jutro na śniadanie, a teraz wiara do lederwerków pana kadeta, żeby były jak szkło!

Rozebrali żołnierze między siebie pasy i paski, wyciągnęli parę gładkich deszczułek,

http://rcin.org.pl

dalej je nacierać czarnym woskiem, gładzić drewienkami, kostkami i korkami, w przeciągu mniej jak godziny świeciły się rzemienie jak lakierowane. Poprzypinali jedne do patrontaszu, drugie do tornistru, bagnet z pochwą włożyli w trzecie, postawili mnie na środku namiotu i zaczęli do mojej figury przypasowywać.

Ta operacya trwała dosyć długo; nakońcu włożono na mnie tornister, na tornister przyszedł płaszcz równiuteńko skręcony jak kiszka, oba końce ściśnięte rzemykiem; płaszcz przechodził po nad lewe ramie, z tyłu na tornistrze leżał, z przodu zaś umocowany został paskiem łączącym obydwa naramienniki. Jak ten pasek dociągnęli, zdawało mi się, że się deka piersiowa załamie; skrzywiłem się okropnie.

— Nie uważaj pan panie kadecie, to tylko zrazu tak się zdaje, powiedział Cybulski, — potem człowiek tego nie czuje!

— Włożono mi na głowę kaszkiet z kordonami, ciężki, twardy, podpięto łuskami, gniótł on niemiłosiernie głowę, tak że w pierwszych dniach skóra z czoła złaziła, ale jak nowa narosła, a kaszkiet potem przymoczony nabrał formę głowy, już mi nie zawadzał. Karabin także wyczyścili żołnierze, wypolerowawszy lufę igłami pozatykanemi na ten koniec w twarde płutno. Cybulski podał mi broń; ustawił mnie z bronią do nogi, i poszedł zameldować Żelskiemu, że już jestem gotów. Nadszedł sierżant, obchodził mnie na około, nie znalazł nic do zarzucenia, pochwalił Cybulskiego, któren wąsa podkręcił. Rzekł do mnie:

— Jutro o 4tej z rana wystąpisz z bronią, bagnetem i patrontaszem na naukę z rekrutami, staraj się prędko pojmować, żeby stanąć w szeregu. Teraz się rozbierz sam, i ucz się sam ile możności ubierać.

Pozdejmowałem z siebie lederwerki, wziąłem furażerkę na głowę, i poszedłem z Cybulskim zobaczyć, w którem miejscu mamy się zbierać na naukę. Sierżant wychodząc, dał mi pięcio-dniowy żołd to jest 2 zł. 15 gr. z tego pokupowałem zaraz wosku czarnego, igieł, nici, szczoteczkę do butów itp. małe rekwizyta potrzebne żołnierzowi. Już zmrok zapadał; stojąc przed namiotem, wypytywałem Cybulskiego o znaczeniu wszystkich baraków i chodników, zgoła o wszystko, co mi pod oczy podpadło. Objaśniał mnie szczerze i bez frycówki, jak to inni czasem z kadetami sobie pozwalają, nakoniec zciemniało się zupełnie, dał się słyszeć wystrzał armatni, a prawie razem z nim odezwały się wszystkie rogi i bębny przed każdym pułkiem. Poszliśmy do namiotu, gdzie przekąsiwszy kawałek chleba, tak zwanego *brykacza* z serem, jako już prawdziwy żołnierz nakrywszy się kocem, spać się położyłem, i spałem jak zabity.

Bodaj to młodość!... Teraz w wygodnem łóżku nigdy mi taki sen nie przychodzi.

Ranny wystrzał z armaty i pobudka zbudziły mnie, żołnierze już powstawali, i myli się za namiotem, uczyniłem to samo, ubrałem się z pomocą kolegów, podpiąłem kaszkiet, wziąłem broń, i poszedłem na plac zbioru. Stanąłem tam jeden z pierwszych. Wkrótce zebrali się rekruci, których gefreiter ustawiał, podług wzrostu w jeden szereg. Nadszedł podchorąży instruktor, któremum się zameldował, postawił mnie na prawem skrzydle, bom był najwyższy z tego oddziału, odrachował i zakomenderował:

— Po jednemu od prawego naprzód, marsz!... i pomaszerowaliśmy za obóz.

Opisywać jak nudne, jak męczące było nauczenie się wymaganej postawy, podnoszenie jednej lub drugiej nogi do kąta prostego, nauczenie się kroku składnego, zwyczajnego czyli paradnego, podwójnego i bez kiwania się ciała jest rzeczą niepodobną. Podchorąży oddał mnie jako początkowego gefrejterowi, któren mnie pojedyńczo musztrował. Mając wielką chęć nauczenia się wszystkiego jak najprędzej, i będąc zręczny z natury w ćwiczeniach ciała, pojmowałem prędko, ku wielkiemu zadziwieniu gefreitera; ale zawsze pot strumieniami spływał po twarzy, a koszula była całkiem mokra. Podchorąży kazawszy spocząć oddziałowi, kazał mi przed sobą powtórzyć wszystko czegom się nauczył; kazał mi wypocząć i stanąć na boku, żeby się przypatrywać rekrutom. Niektórzy

http://rcin.org.pl

dobrze pojmowali, ale było parę, z którymi sobie rady dać nie mógł; chociaż i za uszy nakręcał, i szturkał kułakiem, jednego nawet, któremu przypisywał złą wolę, podał do raportu i wyliczono mu 30 pałek. To lekarstwo skutkowało, bo nazajutrz z większą łatwością uparty mazur nogę podnosił. Trzy godziny trwała nauka, podchorąży był ze mnie bardzo kontent. Był to młody przystojny, trochę może za mało cierpliwy chłopak; żyliśmy z sobą wkrótce bardzo dobrze; we dwa lata później został oficerem, a w r. 1831 zginął na Litwie.

Nim opuściliśmy oboz, nauczyłem się kompletnie szkoły żołnierza, tak, że na ostatnim defilu przed cesarzem Alexandrem jużem stał w szeregu. Mój major, któregom po kilka razy na dzień widywał, i salutował, udawał że mnie nie zna, nigdy do mnie słowa nie przemówił. W parę dni po mojem wstąpieniu do pułku dano znać w obozie 101 wystrzałami z dział, że przybył do Warszawy cesarz.

Od tej chwili, ruch nieustanny w obozie, męczono ciągle żołnierzy próbami defilów i różnych manewrów. Generałowie się uwijali od pułku do pułku; krzycząc, łając, poprawiając co chwila, pomimo przekonania wszystkich, iż wojsko doskonale jest wyrobione. Sam w. xiążę po kilka razy na dzień do obozu przylatywał, obzierał wszystkie najmniejsze szczegóły; często bardzo był zadowolony, ale czasami w okrótną wpadał wściekłość; aresztując pułkowników, sztabsoficerów i oficerów, każąc przy sobie rózgami obijać żołnierzy. Taki był objaw bytności cesarza w obozie. Co się w mieście działo, nie wiedzieliśmy. Łuny z powodu iluminacyj, i okrzyki radośne wieczorami, dochodziły tylko do nas. Nadszedł rozkaz w. xięcia, zawiadamiający, że w następną niedzielę N. Pan będzie w obozie, na mszy obozowej. Było to w piątek. Nowy ruch. Rozdano wszystkim żołnierzom w komis nowe mundury; ubieranie, dopasywanie, poprawianie trwało przez dwa dni, pod ścisłym dozorem oficerów i lustracyą generałów i adjutantów w. xięcia. Każden coś niedobrego wynajdywał, każden klął i krzyczał, żołnierz był umęczony. Muszę tu dodać, że od początku obozu, schodziła się co drugi dzień cała kawalerya, stojąca w ciasnych kwaterach, w okręgu trzy milowym na około Warszawy. Zwykle stawali już po pierwszej godzinie w nocy, na placu pod Parysowem. Tam się wszystko obczyszczało do 4, poczem brygadami, dywizyami i nareszcie całym korpusem manewrowali i defilowali. O 2 po południu rozchodzili się po kwaterach, mając tylko jeden i to nie cały dzień do bielenia i woskowania lederwerków, wyczyszczania broni i koni. Zkąd się brały siły na taką pracę u żołnierzy? rzecz nadzwyczajna, tem bardziej, że w ogólności, a osobliwie u ułanów, zawsze panowała wesołość. Nadeszła niedziela, na obranym placu wyznaczono czworobok. Oficerowie kwatermistrzowstwa po rogach, a podoficerowie w odstępach, formowali proste linie tegoż czworoboku. Każda z trzech dywizyi piechoty tworzyła ścianę jedną, na czwartej stała artylerya. We środku czworoboku postawiono bardzo ozdobny duży namiot otwarty; a w nim ołtarz. Archimandryta wojskowy czekał ubrany, a dwieście spiewaków wybranych z różnych pułków rosyjskich dopomagało harmonijnym spiewem diakom, w długie ryzy ubranym do celebry. Nadjechał cesarz, obok niego o pół długości konia z tyłu w. xiążę, trzymając prawie ciągle rękę u kapelusza, za nimi sztab liczny i świetny, pomnożony xiążętami, generałami i oficerami mocarstw ościennych i małych xięstw niemieckich. Nie będąc jeszcze w szeregu, zdaleka tylko się przypatrywałem. Naturalnie prezentowano broń, wszystkie bębny, rogi i muzyka grały. Cesarz zsiadł z konia; za nim cała świta; poszedł do namiotu, przed którym czekał go archimandryta z krzyżem i święconą wodą; pocałował krzyż i popa w rękę, umoczył palec w święconej wodzie, i trzy razy się przeżegnał, poczem odstąpił, i zaczęło się nabożeństwo. Po ukończeniu nabożeństwa ta sama ceremonia z krzyżem, ręką i wodą. Podano cesarzowi konia. Gdy wsiadł zapuściły się ściany namiotu; a sam z całą świtą objeżdżał czworobok, przy ciągłych okrzykach wojska. Po za ścianami wojska stała na koniach pojedyńczo

http://rcin.org.pl

żandarmerya, nie dopuszczając masy ludu, żeby się w szeregi nie cisnęli. Po odjeździe cesarza wszystkie pułki po kolei wróciły do namiotów. We środku tygodnia zapowiedziane zostały wielkie manewra. Wojsko miało być podzielone na dwie równe części, jedną miał komenderować w. książę, drugą generał Rożniecki. Plac boju był pod Parysowem. Plan ogólny batalii naprzód ułożony w sztabie, ale wykonanie szczegółów zostawione instynktowi dowódców.

W dniu oznaczonym po pobudce, każda z nieprzyjacielskich armii udała się na swoje miejsce przeznaczenia, zwiększona odpowiednią ilością kawaleryi i artyleryi. Już o wschodzie słońca zaczął się tyralierski ogień, po którym niezadługo odezwały się armaty. Manewrowano, strzelano batalionami, i rotowym ogniem jedni do drugich. Szarże kawaleryi świetne, powtarzały się co chwila, między tem, gdy jeden z pułków polskich, któren batalionami strzelał na gwardyę ruską, zobaczywszy że stoi na piasku, w którym się znajdowały małe kamyczki, powpuszczał one do karabinów, dawszy ognia pokaleczył kilkunastu żołnierzy. Także jedna baterya stanąwszy na polu zasianym burakami, ponabijała niemi działa; a dawszy ognia równie pokaleczyła moskali. Później trochę szarżował 4 pułk ułanów, na gwardyę konnopolców, i kilkudziesięciu lancami z koni zsadził. Przed ukończeniem, Rożniecki zauważywszy, że się wielki xiążę z niewielką rezerwą zaawanturował, otoczył go zręcznym manewrem, i prosił o oddanie szpady. Co by się dalej z tego było stało, niewiadomo, ale szczęściem, nadjechał na tę scenę cesarz, przy którym ciągle byli generał Winc. Krasiński, i pułkownik Turno; zaczął się serdecznie śmiać, wyprosił od Rożnickiego szpadę w. xięcia, i wręczył mu ją nazad. Chwalił wszystko nadzwyczajnie, dziękował bratu za takie piękne wojsko; tym sposobem w taki dobry humor go wprowadził, że nawet nie kazał dochodzić sprawców kamyczkowych, i burakowych. Wieczorem cesarz kazał wypłacić każdemu żołnierzowi i podoficerowi którzy byli w froncie po rublowi srebrem. Radość była w całym obozie, która się długo w noc zaciągnęła. W kilka dni poźniej artylerya z rakietnikami dostała rozkaz urządzenia olbrzymiego fajerwerku, na którym był cesarz z całą switą, i mnóstwo ekwipażów cywilnych, napełnionych panami i wystrojonemi damami.

Fajerwerk doskonale się udał, cesarz był bardzo kontent, i serdecznie dziękował bratu i wszystkim. Po wyleceniu w powietrze ostatniego bukietu z 10,000 rac różnokolorowych złożonego, oświecił się jak rószczką czarodziejską trącony razem, cały obóz, beczkami zapalonemi smoły i kagańcami. Jasno było jak wśród południa, widok obozu był przecudny. Żołnierze w białych płaszczach (wówczas piechota białe płaszcze jeszcze nosiła) snujący się po obozie wyglądali jak duchy na polach elizejskich. Przez cały ten czas ranki schodziły mi na nauce mustry, którą ku wielkiemu zadowoleniu mego instruktora łatwo i prędko pojmowałem; nawet major i pułkownik, któren raz nas odwiedził, nie mieli nic do zarzucenia. Pułkownik nawet obiecał mi, że jeżeli wytrzymam próbę ostatniego defilu przed cesarzem, dostanę galonki i felcech srebrny jako podchorąży - - nb. felcech srebrny już był dla mnie przeznaczony w rozkazie com przyniósł z pałacu Brüchlowskiego, jako oznaka dobrego humoru w. xięcia.

Kilka razy w niedzielę albo święto zabawiał w. xiąże obóz popołudniu, to sprowadzonemi do niego linoskokami, to puszczaniem balonów, to innemi już nawet nie pamiętam jakiemi widowiskami; co żołnierzy bardzo cieszyło.

Swoim porządkiem szły co dzień parady musztry, z ogniem i bez ognia lustracye i tym podobne rzeczy.

Pewnej niedzieli, przyszedł do obozu z Warszawy Stanisław, ucieszyliśmy się serdecznie; poczem zaproponował, żebyśmy razem poszli do baraku sierżanta Grabowskiego, o którym już wspominałem. Zastaliśmy u niego kilku młodych podchorążych. Po przywitaniu i zaznajomieniu z nimi, szła gawęda żywo. Stanisław opowiadał nam o Warszawie, o wesołości jaka tam panuje z powodu pobytu cesa-

http://rcin.org.pl

rza; o fetach, illuminacyach, o sejmie co się odbywa, o łaskach i orderach, któremi cesarz obdarza zagranicznych gości i krajowców; o intrygach miłosnych dam niektórych. Wszyscy z uwagą słuchali humorystycznego opowiadania Stanisława, a dla większej uwagi, jeden po drugim zapalali fajki. Zobaczywszy to Grabowski, rzekł z flegmą: ostrożnie z ogniem bo pod pryczą leży paręset funtów prochu w ładunkach. —

Niby podchorążowie na to nie zważali ale wkrótce jedna po drugiej fajka zgasła. Raptem drzwi się otwierają, i wpada jak bomba między nas, podchorąży hr. Krajewski — „*Bon jour mes chers amis.*“ Ledwiem się ognał lecąc prosto z lochu do obozu, w którym ośm dni w lekkiej jak Adam przed grzechem toalecie, wysiedziałem sam jeden. *Supristi quel ennuie!* — ani słowa do kogo przemówić, bo nawet szyldwach stał za drugiemi drzwiami. *Brrum!* otrząsł się jeszcze raz Krajewski. — Niemasz wódki kochany gospodarzu? bo nie mogę pozbyć się zimna — „Mam, i wydobył Grabowski sztof kminkówki. Nalał kieliszek i wypił do Kr., a ten wypiwszy raz po raz dwa, oddał go siedzącemu obok podchorążemu; obeszła kolej. Grabowski sztof schował i zapytał. No opowiedz nam jakże to było z tym pojedynkiem? — „*Ecoutez vous autres*; znacie wszyscy tego długiego Referowskiego; nudna figura, zawsze mi wzrostem swoim, i pięknością swej białej twarzy imponował, naśmiewał się bez dowcipu, z mego małego wzrostu i czerwonych policzków; pasya mnie brała, bo wiecie *que je sui suis pas endurent*, alem nie chciał mieć awantury w obozie.

— Proszę, co za wstrzemięźliwość, odezwał się jeden z podchorążych z uśmiechem.— Nie śmiej się kolego, wiecie dobrze iż dla mnie pojedynek, jak chleb z masłem; wiecie jak się biję, więc nie z tchórzostwa, ale miałem przeczucie, że mi się coś złego z łaski tego Ref. stać musi; i stało się.

Otóż w piątek przed wieczorem wyrobiłem sobie *par extraordinaire* urlop do Warszawy, bez czego się zazwyczaj obchodzę. Pobiegłem do naszej kawiarni, na Wierzbowej ulicy, żeby się trochę rozerwać. Zastałem tam Ref. kilku podchorążych polskich, z innego pułku, i kilku ruskich z kawaleryi paniczów. Kazałem dać Malwinie (znacie tę małą fertyczną dziewczynę) ponczu. Siadłem spokojnie, i piję sobie. Ref. zwyczajem swoim, chcąc się zapewne popisywać przed moskalami, bierze się do mnie ja ani słowa; tylko kazałem Malwinie, żeby mi drugą szklankę przyniosła. Byłbym pewnie wypiwszy wyszedł, żeby nie to, że moskale zaczęli się między sobą patrząc na mnie uśmiechać. Pasya mnie ostatnia porwała. Nie wstając z miejsca, jak zbiorę całą moją rezerwę artyleryi dowcipowej, jak zacznę rznąć Referowskiego, nie dając mu ani chwili czasu do odstrzelenia, jak zacznę go nicować i obracać na wszystkie strony, śmiech powszechny powstał. Moskale się za boki brali. Ref. pobladł ze złości, otworzył gębę, żeby mi coś ostrego odpowiedzieć, a ja korzystając z tej chwili, chlapnąłem mu resztę ponczu w oczy, i porwawszy się z krzesła stanąłem *en garde* w postawie boxera. Podchorążowie wpadli między nas, bojąc się bójki, jeden z nich rzekł do Ref. Taka obraza krwią tylko może być zmytą, albo trzeba być podłym żeby ją darować. Ref. rad nierad wyzwał mnie. Sekundanci się znaleźli, zaraz ułożono warunki pojedynku, któren się miał odbyć nazajutrz przed świtem za Marymontem na szpady.

Stanęliśmy na umówionem miejscu, sekundanci plac wybrali, jużeśmy byli naprzeciw siebie, gdy raptem Ref. zatyka szpadę w ziemię, i obróciwszy się do sekundantów, rzecze:

— W. xiążę zakazuje pojedynki jak najsurowiej; szanuję jego rozkazy, i bić się nie będę. — To powiedziawszy odchodzi z najzimniejszą krwią z placu, mnie się czerwono w oczach zrobiło.

Z początku stałem jak słup, ale ochłonąwszy z zadziwienia, lecę za nim ze szpadą w ręku, nie żeby go przebić, ale żeby uciekającego wypłazować. Ref. obejrzawszy się, i widząc co się święci, w nogi; ja za nim, dopędziłem, dałem parę płazów przez plecy. Takeś-

http://rcin.org.pl

my byli obydwa zajęci, on uciekaniem, a ja gonieniem, żeśmy nie postrzegli patrolu gw. rosyjskiej, wracającego naprzeciw nas z miasta, i obydwa wpadliśmy mu w ręce. Nie było rady, otoczyli nas, i zaprowadzili na odwach. Sprawa się wytoczyła do w. xięcia, któren osądził, żeby Referowskiemu za to, że przestrzegał jego rozkazów, obedrzeć galonki, i wymazać z kontroli; mnie zaś na ośm dni do lochu, w naszych teraz pustych koszarach w najlżejszym stroju, o chlebie i wodzie zamknąć.

Sacre bleu! diable mi się te ośm dni długie wydały; bo jużci pewnie wie z was każdy z doświadczenia, że w tym lochu dnia nigdy nie ma.

— Mógłbyś już dać pokój tym pojedynkom — odezwał się Grabowski — każden wie, że w całej piechocie nikt się tak nie bije jak ty, a zastanów się nad tem, że z w. xięciem żarty nie zawsze się udają.

— Dla czegoż mnie ograniczasz tylko na piechotę? zobaczycie, że jeszcze kiedyś jakiego kirysyera albo szasera moim tasakiem zdywiduję. —

Wszyscy się śmieli serdecznie; po czem porozchodzili się, każden w swoją stronę. Ja odprowadziłem Stanisława do ostatniej linii obozowej, a uściskawszy się z nim serdecznie, wróciłem do namiotu rozmyślając nad sprawiedliwością w. xięcia.

Już parę razy występowałem w szeregach, i dobrze mi się udawało. Obóz niezadługo miał być zwiniętym, więc się przygotowywano do wielkiego ostatniego defilu przed cesarzem. Na ten koniec zeszła się z nami cała kawalerya i wszystkie baterye piesze i konne na próbę, która się doskonale udała. Za trzy dni miał nastąpić ten dawno oczekiwany defil.

Przyszedł nakoniec ten dzień długo oczekiwany. Słońce prześlicznie zeszło, i zapowiadało pogodę. Wszyscy żołnierze, którzy zazwyczaj albo słabych udawali, albo używani byli do służby niefrontowej, meldowali się kapitanom, że są gotowi do defilu, bo tu chodziło o rubla gratyfikacyi, która nigdy nie chybiła. Pakowano zwyczajnie takich w drugie szeregi.

Defil miał się zaczynać o 10, ale zaraz po wschodzie słońca wszystkie oddziały stanęły na swoich miejscach, gdzie się obczyszczały i starszyzna ostatecznie najskrupulatniej lustrowała. Plac do defilu wymierzony był tak, żeby się pułki w odstępach plutonowych zmieściły. Od ściany przed którą stać miał cesarz, stali jak słupy *des fatons* oficerowie kwatermistrzowstwa piechoty, koło reszty ścian czworoboku, konduktorowie inżynieryi i kwatermistrzowstwa, dalej podoficerowie i piesi. Naprzeciw punktu w którym cesarz miał stać na koniu, stał wewnątrz czworoboku kapelmistrz całej armii, w bogato srebrem haftowanym mundurze, za nim stawała jedna po drugiej muzyka, defilującego pułku, która do tego punktu szła na czele, a kapelmistrz dla jednostajności, przez cały czas defilu, obydwoma rękami takt wymachiwał. Podziwiałem siłę tego człowieka.

Nareszcie grzmot bębnów, rogi i muzyka słyszeć się dały. Zbliżał się cesarz z ogromną świtą, i wraz z nią objechał od strony wewnętrznej cały czworobok, przy ciągłych okrzykach pułków, do których się zbliżał; poczem stanął na przeznaczonem dla siebie miejscu. W. xiążę, któren na czele kolumny sam defilował na koniu, po salutowaniu cesarzowi, zrobił woltę, i stanął tuż obok po prawej stronie tylko o jedną trzecią część długości konia w tyle.

Zaczął się defil. Na przodzie gw. gren. rosyjska, za nią gw. strzelców, za którą gw. gr. polskich i saperzy.

Po tych następywała piechota liniowa, dywizyami i pułkami po numerach; później cała artylerya piesza; po artyleryi nasamprzód kirasyery, za nimi ułany gw. rosyjskiej, a nakoniec gw. strzelców konnych polska, dalej artylerya konna, gwardya rosyjska i polska. Tuż za nią dywizya strzelców konnych, a za nią dywizya ułanów, wszystko zamykała artylerya konna.

Pierwszy defil, cała piechota krokiem paradnym, a kawalerya stępo, drugi, krokiem podwójnym, a kawalerya kłusem. W miarę jak się oddziały zbliżały, generałowie dywizyi i brygady zrobiwszy woltę stawali obok cesarza,

http://rcin.org.pl

składając mu raporta. Ta sama ceremonia służyła dla pułkowników, komendantów batalionowych i dywizjonowych oraz dowódców bateryj, którzy wszyscy wracali do swych oddziałów. W. xiążę chciał się przed cesarzem pochwalić najlepszym jeźdcem z całej armii, pułkownikiem Katerla z pułku gw. strzelców konnych, zwrócił uwagę cesarza na niego, jak się na czele dywizjonu zbliżał. Katerla chcąc bardzo uczoną woltę zrobić przed cesarzem, salutując go spadł z konia. Wprawdzie jeszcze prędzej na niego wyskoczył, ale pomimo tego, że się cesarz śmiał serdecznie, w. xiążę nie mógł mu tego zawodu w oczekiwaniu darować, i zaraz po wyjeździe monarchy przeniósł Katerlę do 1. pułku ułanów.

Defil się skończył po trzech godzinach ciągłego marszu, wszyscy się porozchodzili na swoje miejca; wieczór ogłoszono rozkazem dziennym ukontentowanie cesarza, i rozdano wszystkim podoficerom i żołnierzem po rublowi srebrem.

Trzy dni jeszcze bawiliśmy w obozie; ale już oprócz służby wewnętrznej niczem więcej żołnierza nie męczono, tylko się wszystko przygotowywało i pakowało do wymarszu.

Każden pułk pomaszerował w swoją stronę, my zaś na wieczny dla 2 pułku strzelców pieszych przeznaczony garnizon do Zamościa. Maszerowaliśmy dwa dni ciągle; a trzeciego był odpoczynek. Muszę tu dodać dla tych co w wojsku nie służyli, że marsz z jednego miejsca na drugie nie dla wszystkich się na oznaczonym na papierze punkcie ograniczał. Rzadkie bowiem są wsie lub miasteczka, w których by się cały pułk mógł pomieścić; więc reszta musiała się kwaterować we wsiach sąsiednich, o ćwierć, pół do trzech ćwierci mili odległości od sztabu pułku. To jest nużące dla żołnierza, bo nazajutrz daleko raniej wymaszerować jest przymuszony, ażeby na daną godzinę złączyć się z całym pułkiem. Maszerowanie z całym pakunkiem, bardzo mię z początku męczyło; już po drugim marszu podbiłem się, a lederwerki szczególnie tornistrowe, zostawiały na ciele czerwone bolesne pasy; alem użył całej mojej siły moralnej, ażeby się cierpieniu nie poddawać.

Tak idąc przez dni kilka, ujrzałem na płaszczyznie Zamość; ten cel naszego dążenia, z jego szańcami, murami, bastonami, oraz kościołami, i wysokiemi budowlami. Smutne przechodziły myśli, wystawiając sobie, że w tem mocnem ogrodzeniu 10 miesięcy następnych przepędzić trzeba będzie.

Weszliśmy do środka twierdzy; cały pułk stanął na placu broni, gdzie po lustracyi i przerachowaniu, podzielono nas na oddziały, z których każden do przeznaczonych dla siebie koszar udać się musiał. Zagospodarowanie się pierwsze nie wiele zabrało czasu. Do wieczora już wszystko było na miejscu, wszystkie sale pozamiatane, broń ustawiona, a lederwerki i reszta efektów na pułkach poskładane. Ktoby wieczorem był nas chciał odwidzieć, byłby przekonany, że pułk z miejsca się nie ruszał. Następujący dzień, oprócz tych ludzi co na warty zaciągnęli, i zluzowali żołnierzy rezerwy ułanów, przez czas obozu służbę pełniących; zajęty był czyszczeniem broni, i wszystkich efektów. Po tym dniu nastąpiła niedziela. Parada kościelna i zmiana warty z muzyką; a od poniedziałku ćwiczenia wojskowe, w maszerowaniu, robieniu bronią, i strzelaniem do tarczy, przez czas krótki. Te ćwiczenia nawet w zimie po kazamatach i salach ciągle się odbywały. Rekruci uczyli się osobno, i w miarę postępów, po należytem i częstem trzepaniu pałkami do szeregów wcielonemi zostawali.

Forteca się powiększała, i przebudowywała bardzo pięknie i gustownie; a jak mi się wtenczas zdawało, że bardzo mocno i stosownie do obrony. Generał Malet (Maleteki), Francuz z wojsk Napoleona; mały, dość gruby, zwykle nadzwyczajnie brudny, robotami dyrygował. Pod nim byli, kapitanowie Engebricht i Liesenbaut, a do pomocy kilkudziesięciu konduktorów inżynieryi. Jako robotnicy używani byli aresztanci wojskowi. Smutny to był widok na tych ludzi pozakowywanych w ciężkie kajdany, niektórzy do kajdan miewali przykuty łańcuch, do którego 12 funtowa kula

http://rcin.org.pl

była przymocowana, którą wtenczas gdy więzień chodzić był przymuszony zawieszał na haku u pasa; niektórzy zaś do taczek łańcuchem przykuci bywali. Tem mutniejszym był widok, że między więźniami mała tylko część była prawdziwych zbrodniarzy; resztę, formowali ci, co za przekroczenia subordynacyi samowolnym sądem wielkiego xięcia, na te srogie więzienia skazanymi byli. Patrząc na twarze tych nieboraków, ujrzała się niejedna delikatniejsza, albo ze szlachetnemi rysami. Byli to najczęściej podchorążowie, których odznaczała zwykle tylko postawa; bo ubiór szary aresztancki, z takąż samą farażerką, z grubego sukna na głowie wszystkich jednakowo przyozdabiał, i jednakowo głowy golone były co tydzień. Aresztanci stali po wielkich sklepionych kazamatach; sypiali na pryczach bez żadnego posłania, mając tylko gatunek pulpitów z deszczek hyblowanych, zamiast poduszek pod głowami. Kazamaty w zimie nie były ogrzewane, bo leżąc dosyć głęboko w ziemi, utrzymywało się ciepło znośne; okna w bocznych ścianach tak były urządzone, że pomimo głębokości, widno było trochę w tych olbrzymich półcylindrach, także wentylatory stosownie były umieszczone, dla czyszczenia powietrza, gdyż te kazamaty były murowane z półtora-łokciowemi sklepieniami, ażeby w czasie oblężenia wojsko w nich stać mogło, gdyż bomby tamtoczesne takich sklepień nieprzebijały.

Przez cały czas, aż do następnego zebrania się naszego w obozie pod Warszawą, prowadziłem życie bardzo jednostajne. Ciągłe musztry, częste koleje na warty tak czas zabierały, że prawie żadnych cywilnych niezrobiłem znajomości. Należąc do 2iej kompanii 2 batalionu z poczciwym tylko Zelskim i kilku kolegami jadałem w menażu; między tymi był Adolf, o którym mi zapewne później więcej mówić wypadnie. W tym roku, jeden tylko wypadek wszystkich nas bardzo zainteresował, i obudził ogólne współczucie. Przywieziono z Warszawy zakutego bardzo ładnego chłopca w poźnej już jesieni, skazanego na 20 lat do robót z 12 funtową kulą. Widok tego młodego nieszczęśliwego człowieka serce rozdzierał, patrząc na tę delikatną szlachetną postawę, na szlachetne rysy jego twarzy, i w te ogromne błękitne pełne wyrazu oczy, w których się spokojność, duma i rezygnacya malowały. Był to Konstanty Malczewski; rodzony brat Antoniego, autora Maryi, uczeń liceum krzemienieckiego. Wstąpił przed dwoma laty do korpusu inżynierów jako konduktor. Dostawszy urlop na Wołyń dla interesów familijnych, bawiąc tam, naturalnie nie obcinał podług formy włosów, które mu się z urodzenia kręcąc, ślicznie układały, zapuścił delikatne bląd wąsiki, i tak, po cywilnemu elegancko ubrany, wrócił do Warszawy przed skonczeniem urlopu, w chęci zabawienia się w stolicy nim się do służby zamelduje. *Pierwsza już zbrodnia.* Byłoby mu się to niezawodnie udało, bo nic nie był podobny do siebie samego, ostrzyżonego, w mundurze i sukiennej krawacie. Zachciało mu się pójść na teatr. *To druga wielka zbrodnia dla podoficera.* Wziął sobie bilet do fotelu, i zasiadł między oficerami gwardyi konnej ruskiej. Między aktami, gdy się zajął lornetowaniem dam po ložach, nadeptał go na nogę nielitościwie przeciskający się oficer kirysierów, któren zamiast przeproszenia, grubiaństwo mu jakieś powiedział. Żywy jak piorun, niecierpliwy z natury, palnął w twarz oficera, tak że ten zachwiał się na nogach, a kapelusz stosowany z ogromną kitą na trzeci szereg fotelów poleciał. Zrobił się hałas, przytrzymano go, broniącego się boxami drugim oficerom, póki nie nadeszła warta żandarmów i nie wyprowadziła, czyli raczej nie wyniosła go z teatru. *To trzecia największa w oczach w. xięcia zbrodnia.* Zaprowadzony na główny odwach pod białego orła, gdy poznano kim jest, zameldowano w. xięciu, któren w największej pasyi, kazał złożyć sąd wojenny, i sądzić go podług największej surowości praw. Sąd się prędko skończył, w jednej sesyi został oskarżony, przekonany o potrójną zbrodnię i na śmierć skazany. Wyrok poszedł do potwierdzenia do w. xięcia.

W. xiążę kary śmierci nie lubił, wolał daleko długo męczyć i pastwić się, dla tego

http://rcin.org.pl

też za instancyą generałów i dam niektórych warszawskich, które albo były krewnemi, lub jak niektórzy mówią, miały wielką słabość do pięknego delikwenta, zamienił karę śmierci na więzienie w twierdzy, jakem to wyżej mówił. Wszystkich nas zadziwiała wytrwałość, tego na pozor delikatnego młodzieńca w ciężkiej pracy, około murów twierdzy; wytrzymał zdrowo zimę i nadchodzące lato. Jakeśmy wymaszerowali do obozu, a rezerwa ułanów zajęła nasze miejsce, uciekł pewnej nocy w największą burzę. Teraz już można śmiało powiedzieć, że mu do tej ucieczki pomogli poczciwi oficerowie ułanów, i oddali damom, które przebrawszy go po kobiecemu wywiozły za granicę. Bojąc się jednak Europy, która natenczas, że tak powiem, Rosyi hołdowała, pojechał do Ameryki. Tam się dostał do Boliwara, przy którym był adjutantem. Przez kilka lat pisywał ztamtąd do krewnych i przyjaciół; później słych o nim zaginął, nie wiem co się z nim stało. Komendantowi Zamościa, pułkownikowi Siemianowskiemu, któren z tego powodu był w wielkim strachu, jakoś szczęśliwie się upiekło, cała rzecz skończyła się na kilkodniowym domowym areszcie i wygoworze.

Kolega mój o parę lat odemnie młodszy Adolf, miał ojca byłego majora w. p. ozdobionego trzema krzyżami, to jest polskim kawalerskim, legii honorowej i neapolitańskim. Służył w wojsku od legionów, po większej części za granicami kraju. Tam się ożenił z Francuzką bardzo miłą, poczciwą kobietą, z której miał syna Adolfa i córkę Julię, o parę lat od niego młodszą. Nie chcąc dla ran poniesionych i samowolności w. xięcia, służyć w nowej organizacyi, wziął się do gospodarstwa, na znacznej dzierżawie wypuszczonéj mu z ordynacyi Zamojskiej. Syna oddał bardzo młodo do naszego pułku, ażeby być blisko niego, i często patrzeć na jego postępowanie. Z tego powodu żył w stosunkach przyjaźni z pułkownikiem, sztabsoficerami, szczególnie zaś z moim kapitanem P., któren równie jak Żelski pod nim w Hiszpanii służył. Dzierżawa majora była blisko Radecznicy, klasztoru Bernardynów słwnego św. Antoniego cudownego, w pięknej bardzo okolicy na górze, zarosłej odwiecznemi dębami, ze źródłem pod figurą św. Antoniego na dole, którego woda, jak utrzymywano w okolicy, wiele chorób leczyła. Na 13. czerwca wyprosił major u pułkownika urlopy dla Adolfa i dla mnie, na 48 godzin. Pojechaliśmy forszpanem bardzo rano, żeby się z familią majora zjechać na odpustowem nabożeństwie w klasztorze. Ludzi było niesłychanie wiele, kościoł przepełniony, a na wzgórzu między dębami snuły się niezliczone gromady, po większej części kobiet, między któremi sitarki z Biłgoraja odznaczały się niepospolitą pięknością i gustownem ubraniem. Trudno było oczu od nich oderwać. Lecz wszystkie te wrażenia zniknęły raptem w mojej wyobraźni, jakeśmy się przecisnęli przez kościoł, i jakem zobaczył klęczącą koło wielkiego ołtarza siostrę Adolfa. Nic podobnego jak żyję nie widziałem. Nie będę szczegółowo rozbierał jej wdzięków, gdyż wszystko co bym mógł powiedzieć, nie dałoby prawdziwego wyobrażenia o tej uroczej dziewczynie. Jednem słowem, była to 16letnia świeża, biała z czarnemi oczami brunetka, żywa jak wiewiórka, zgrabna jak sarneczka, dobra jak anioł, a jak szatan sprytna. Nie spuszczałem jej z oczu przez całe nabożeństwo, które sam nie wiem jak i kiedy się skończyło. Obraz Julii całą moją istotę napełniał. Po nabożeństwie pojechaliśmy do majora, gdyż to były imieniny żony jego. Zjechało się kilkadziesiąt osób z okolicy, między niemi była młodzież wojskowa. Bawiono się wybornie, tańczyliśmy prawie do białego dnia. Z Julią ośmieliwszy się już raz, dużo gadałem, i tańcowałem, zachwycony jej rozmową i dowcipem. Zabawiwszy w domu majora jeszcze na drugi dzień do południa, po obiedzie odwiózł nas sam do Zamościa, gdzie miał jakieś interesa u komendanta, o dostawę prowiantu.

Nic nie gadałem przez całą drogę; bo myśl była przepełnioną obrazem anielskiej Julii. Wróciliśmy do codziennej zwyczajnej pracy. Zacząłem już pełnić służbę podoficera, a mając odpowiedzialność na sobie za kilkuna-

http://rcin.org.pl

stu żołnierzy, będących w mojej sekcyi, nie mogłem już przed wymarszem do Warszawy być u majora; tylko raz jeszcze widziałem Julię przez chwilę, jak przybyła do Zamościa z matką dla pożegnania się z bratem. Zdawało mi się, że Julia z przyjemnością mnie zobaczyła. Mówiliśmy trochę z sobą o rzeczach obojętnych zapewne, ale każde jej słowo zdawało mi się być źródłem mądrości, uroku i dowcipu. Nakoniec uściskawszy ze łzami brata spojrzawszy na mnie mile, temi wielkiemi czarnemi wyrazistemi oczyma, które jak sztyletem serce moje przeszyły, wróciła z matką do domu.

Od czasu imienin pani majorowej, o niczem myśleć, o niczem mówić nie mogłem, tylko o Julii. Nudziłem tem jej brata, któren jak zazwyczaj wszyscy bracia nie mógł pojąć, co tak szczególnego widzę w siostrze jego. Z poczciwym Żelskim nieraz się kłóciłem; jak wysłuchawszy moje pochwały Julii dawane, które z cierpliwością w głowie układał, mówił nakoniec.

— To zapewne niczego dziewczyna, ale gdzie jej tam do Donny Ines, którą kochałem w Sewilli, lub do Donny Dolorez, z łaski której dostałem sztyletem w plecy. Szczęściem że sztylet po nocy trafił w bandelier od pałasza, a nadchodzący patrol odstraszył mordercę. Gdyby nie to, nie miałbym honor sierżantować teraz w Zamościu.

Mówił nieraz, że ten wypadek bardzo go ochłodził w zapałach miłośnych. Po żniwach wyszliśmy znowu do Warszawy, i tym samym porządkiem, na tem samem co zeszłego roku miejscu pułk nasz stanął. Nic się nie odmieniło, ani w szyku, ani w zwyczajach obozowych, oprócz tego, że ogródki koło baraków dowódców coraz piękniejsze się robiły, że cesarza nie było w Warszawie, i że w. xiążę przez cały czas w najgorszym był humorze.

Powodem do tego było, jak mi mówił Stanisław, odkrycie jakiegoś stowarzyszenia węglarskiego między niektórymi oficerami i uczniami uniwersytetu. Uwięziono wtenczas pułkownika Łukasińskiego (co się później z Łukasińskim stało, nikt z pewnością nie wie, i zapewne nikt się nigdy nie dowie; różne chodziły w obiegu wersye, ale wszystkie fałszywe). kapitana Dobrogojskiego, podporucznika Sabińskiego, któren się później w więzieniu chustką udusił, i wielu innych. Ścieśniono cenzurę pism publicznych, zakazano wydawać *Wandę i Sybillę* redagowaną przez Heltmana bibliotekarza w księgozbiorze Zamojskich i Piątkiewicza. Pierwszego kazał w. xiążę oddać w sałdaty do jakiegoś pułku rosyjskiego, drugiego zaś jako Galicyanina, wywiezieno pod strażą do kraju. Uczniowie, na których było podejrzenie, powymykali się za granicę. Zdawało się, że natenczas tyrania doszła do najwyższego stopnia, wszyscy byli temi wypadkami okrutnie przerażeni. Ale cóż to było wszystko w porównaniu z pastwieniem się, które później nastąpić miało, i które dotychczas w progresyi geometrycznej się zwiększa.

W wojsku znikła wesołość dotychczas panująca, zaprowadzono szpiegostwo, w obec którego stosunki koleżeńskie prawie zupełnie się zerwały, nikt nikomu nie dowierzał, każden się bał cienia swego. Jeden tylko Krajewski miny nie tracił. Niepoprawny hulaka, przesiadywał często w kozie i lochu dla odmiany. Wypuszczony śmiał się, bawił wszystkich swemi cynicznemi dowcipami i francuzczyzną, ale go tolerowano, bo generał Żymiński dowódca pułku gwardyi grenadyerów, żył w przyjaźni z jego rodzicami mieszkającemi w Warszawie, którzy bardzo wesoło, wystawnie i nad majątek zbytkownie żyli. Pierwszy raz po wstąpieniu do wojska kazał mi się stawić major K. Ubrawszy się po formie, poszedłem do jego baraku. Zameldowawszy się, spojrzał na mnie badawczem okiem, od stóp do głowy, czy nie znajdzie w ubiorze co do zarzucenia, nakoniec rzekł:

— Z postępowania twojego ja i pułkownik jesteśmy kontenci, dla tego przedstawiłem cię do szkoły podchorążych, w której 2 lata zostaniesz, a za 3 albo za 4 najdalej, będziesz mógł być oficerem, jeżeli ci się examin powie-

http://rcin.org.pl

dzie przed J. c. k. M. w. xięciem naczelnym wodzem. — Bądź zdrów.

Nie było rady, podziękowałem, stojąc po formie wyprostowany, a zrobiwszy lewo w tył wróciłem do namiotu. Natłok myśli różnorodnych pchał mi się do głowy. Z jednej strony, radość, że się do tej szkoły w tak krótkim czasie dostaję, która jest pierwszym szczeblem do epoletów, a z drugiej strach zostania w Warszawie, w tym czasie podejrzliwości i szpiegostwa nakoniec myśl, iż przez dwa lata nie wolno mi będzie oddychać tem samem co Julia powietrzem; serce mi rozdzierała. Czem ja byłem dla Julii!... Mało znajomym, bo tylko 2 razy widzianym podchorążym, istotą bez żadnej w świecie pozycyi i majątku. Czy ona może myśleć o mnie?... Czy jeżeli myśli, będę przyjęty jako konkurent przez rodziców? Czy nakoniec jestem w stanie zabezpieczyć jej przyszły los i swobodę życia? Wszystko to męczyło mi nadzwyczajnie głowę, unikałem towarzystwa, rezonowałem sam z sobą zapewne bardzo mądrze; a koniec rezonowania przedstawiał mi zawsze uroczy obraz Julii, coraz dla mnie droższej. Koledzy moi jedni mi winszowali drudzy straszyli szkołą, szczególnie ci, co z niej wydaleni zostali. Uzbroiwszy się w odwagę myślałem sobie „jakoś to będzie.“ Rad byłem tylko, że zostanę blisko Stanisława; któren moje jeremiady o Julci cierpliwie wysłuchiwał, a później wesołością swoją czarne chmury, które się u mnie nagromadzały, rozpędzać umiał.

Podczas manewrów w obozie nic ciekawego nie zaszło, oprócz tego ze w 2gim pułku strzelców konnych, w czasie szarży trzy konie wpadłszy na kamień, na śmierć się zabiły; jeden szaser kark skręcił, jeden rękę złamał, a trzeciemu zupełnie nic się niestało.

Była druga zabawna historya kilkunastu młodzieży cywilnej, na koniach, a z nimi pułkownik Nosarzewski, któren przed rokiem wziął dymisyę, pomimo nalegania wielkiego xięcia żeby został, przypatrywało się manewrom, jak to zwykle bywa, jeżdżąc pomiędzy wojskiem. Wszyscy zwracali się do półkownika, w nadziei, że się w niepotrzebną kolizyę nie wplątają. Wielki xiąże, któren od czasu wystąpienia z wojska Nosarzewskiego, nie cierpiał go; dojrzał z daleka tych elegantów. Wysłał natychmiast adjutanta żandarmów z żandarmami, żeby ten oddział z nienacka naniść, otoczyć, aresztować, i przez całą Warszawy piechotą pod białego orła zaprowadzić, co się doskonale udało. Wzięci w jasyr obywatele, wysiedzieli 24 godzin na odwachu, ku wielkiemu ukontentowaniu żołnierzy traktowanych przez tych jeńców noc całą.

Znowu się obóz kończył, pułki wybierały się na swoje zwykłe łoże, ja zaś z kilkunastu innych podchorążych z różnych pułków piechoty, odkomenderowani zostaliśmy do szkoły, gdzie rano w całym pakunku stanęliśmy. Oficer któren nas z obozu odprowadził zameldował pułkownikowi Olendzkiemu, któren nas uszykowanych w jeden szereg, przelustrował. Dał rozkaz oficerowi tuż stojącemu, żeby nas zaciągnąć w kontrolę szkoły, i po salach pomieszczać. Szkołą podchorążych naczelnie komenderował pułkownik, a pod nim pięć oficerów jako nauczyciele; ci ostatni czasem się mieniali, jedni wychodzili do pułku, a na ich miejscu najczęściej z gwardyi narodowej lub rosyjskiej przychodzili. Byli to po części bardzo tędzy i godni młodzi ludzie. Pułkownik Olendzki służbista ogromny, pełen wiadomości wojskowych; na pozor surowy i bardzo wymagający, nie lubił mścić się i pastwić nad częstokroć niesforną młodzieżą; rzadko też kiedy sprawy wewnętrzne, wytaczały się przed sąd wielkiego xięcia. Główną nauką w szkole była służba frontowa, do najwyższego stopnia doskonałości doprowadzona, tudzież teorya mechanizmu różnych oddziałów; zacząwszy od szkoły żołnierza, plutonu, aż do pułku, brygady, dywizyi i korpusu. Podoficer wchodzący do szkoły, uważany był za rekruta; i od samego początku musiał przechodzić szkołę żołnierza, dopóki pułkownik nie zauważał, że we froncie stanąć może.

Zabawnem było, kiedy cesarz Mikołaj pierwszy raz po wstąpieniu na tron, był w

http://rcin.org.pl

Warszawie, i kazał się uczyć musztry polskiej. Nauka miała miejsce w szkole podchorążych, a odkomenderowany do tego oficer gwardyi grenadyerów, Patrycy Drzewicki, miał rozkaz postępowania z nim, jak z rekrutem, i dopiero po nauczeniu się wszystkiego co do podoficera należy, awanzując ciągle doszedł do podporucznika, i na tem się nauka skończyła.

Cała szkoła złożona z pół batalionu podoficerów polskich rosyjskich gwardyi stojących w Warszawie; mieściła w sobie najróżnorodniejsze żywioły; które rozpoznawszy się podług usposobień fizycznych umysłowych i finansowych w małe kółka się łączyły. W tym czasie kiedy ja do szkoły wstąpiłem, młodzież wyższego wykształcenia, z prawdziwą chęcią nabywania do stanu wojskowego potrzebnych wiadomości, nie była liczną, i trzymała się całkiem na stronie, drugą częścią, byli synowie zamożniejszych obywateli, którzy w czasie urlopów odwiedzali domy, umizgając się do panien i mężatek. Tych zwaliśmy elegantami; bo w koszarach żadnego z nimi koleżeństwa nie było.

Trzecia, wesołe chłopaki, nie myślące o niczem, tylko o zabawie gdzie i jakakolwiek ona być mogła; bez wyboru towarzystwa. Ponieważ ani teatr, ani żadne publiczne towarzyskie zabawy nie były pod najsurowszą karą przystępne dla podchorążych, więc ci wyszukiwali sobie rozrywki w najniższych sferach towarzystwa. Szynki w których urządzano tak zwane bale przyjacielskie, były wielkim resursem tej birbanckiej młodzieży. Na te bale nie chodził nikt, oprócz podoficerów i kobiet najrozwiązłejszego życia, pikietami zwanych. Te baliki nie były wolne, ale tolerowane, wrazie tylko jak się wielki hałas na ulicę dostawał, wpadał Jurgaszko z żandarmami, i kogo mógł aresztował. Nie było to wprawdzie łatwem dla niego zadaniem; bo najczęściej ostrzeżeni podchorążowie o zbliżaniu się żandarmów, gasili światło, i wyślizgiwali się którędy mogli nawet czasami pomiędzy nogami żandarmów. Ubrani zwykle na takie fety w leibiki, gładko i zwinnie jak węże, uchodzili szczęśliwie. Tu trzeba dodać, że żandarmerya owczesna, zawsze stare Napoleońskie wiarusy, nie bardzo ostro łapaniem się bawiła, pomimo wściekania się Jurgaszki, Rożańskiego, Laszewskiego i kilku jeszcze innych oficerów tej broni.

Czwarta, byli to tak zwane herkulesy, odznaczający się siłą ciała i wielkim zapasem życia fizycznego, szafujący temi siłami za złoto bogatych, rozwiązłych dam, zwłaszcza Rosyanek, które rozwiązłość zwierzęcą z Petersburga przywiozły. Oni to pozostawili wspomnienie osławionych schadzek w sklepach modniarek.

Z takimi kolegami, pomimo że zawsze miewali pieniądze, mało się wdawano. Podchorążowie gwardyi rosyjskiej z bardzo małemi wyjątkami byli i mało wykształceni i strasznie zepsuci. Oni to wyprawiali czasem rajskie kolacye. Była to deprawacya doprowadzona do najobrzydliwszego stopnia. Smutno wspomnieć, ale nieraz i nasi do tych uczt należeli. Jeżeli żandarmerya wykryła taki balik, wszystkich zwykle na dłuższy czas pakowano do lochu, czasem degradowano, a moskale swoich rózgami obijali.

Oprócz soboty i niedzieli każdy dzień w tygodniu był podobny jeden do drugiego i tak:

Zrana po pobudce apel w płaszczach.

Po apelu pół godziny czasu przeznaczonego do ubioru, poczem rozkaz.

Po rozkazie ci, co niby byli rekrutami, uczyli się musztry na dziedzińcu; resztę ćwiczono pod Ujazdowem, w szkole plutonu itd.

Po mustrze o 10. śniadanie, to jest pieczeń wołowa, kartofle, kasza lub kluski i pół butelki piwa.

Po śniadaniu czyszczono broń, lederwerki i t. p.

O 2giej obiad, z zupy, pieczeni itd. jak śniadanie złożony. Po obiedzie najczęściej wyrabianie głosu do komendy pod Ujazdowem.

Jeżeli słota nie dozwalała ćwiczeń na dworze; profesorowie dawali teoryę służby frontowej po salach, dzieląc wszystkich na 4 klasy.

Całą zimę z wyjątkiem bardzo pięknych i suchych dni dawano teoryę, którą każdy na

http://rcin.org.pl

palcach umieć musiał, żeby stanąć do examinu przed wielkim xięciem; inaczej na oficera nie postąpił. O taktyce i strategii nie było mowy. Te uczono w szkole aplikacyjnej, do której tylko za protekcyą dostać się można było. Komenda jednego dnia była po polsku, drugiego po rosyjsku. Trzynastu podchorążych codzień było komenderowanych na inspekcyę w koszarach.

W każdą niedzielę i święto była parada kościelna bez broni. Oprócz tego com wyżej powiedział, nic nas więcej nie uczono. Dopiero po roku 1824 zaczęto dawać języki, t. j. francuzki, niemiecki i rosyjski, do czego profesorowie cywilni przychodzili, ale postępy w tym względzie były bardzo mało znaczące.

Kto chciał sam z xiążek się czego uczyć, nie miał prawie na to czasu, tak wszystkie godziny zapełnione były detalami służby.

Jedyny na to sposób było zostawanie w koszarach w dniach przeznaczonych na urlopy, dla tych co woleli się umysłowo kształcić jak korzystać z wolności wydalenia się do miasta.

I w tem zachodziły trudności; nie łatwo było pożytecznych xiążek dostawać, a z zakazanemi trzeba się było kryć ostrożnie, bo te zabierano, i za czytanie onych karano.

Z takiego systematu nauk nie wiele można było korzystać, co się też pokazało w wojnie r. 1831. Mieliśmy masę doskonałych oficerów frontowych, ale brak wyższego wojskowego wykształcenia nie pozwalał rozwinąć się talentom, któreby się pewnie między tylą młodzieży znalazły były.

O szkole podchorążych konnej nie wiele mogę powiedzieć. Małośmy z nimi miewali styczności; to tylko wiem, że surowiej od nas była trzymaną przez pułkownika Czarnomskiego i kapitana Wrześniewskiego ohydnej pamięci. Ale ponieważ młodzież kawaleryi w ogólności od nas zamożniejszą była, a sama surowość podawała chęć niezłomną do nadużyć, więcej się tam lampartowano jak u nas.

I tak np. chcąc żeby wszystko było w porządku, był rozkaz surowy, żeby latarnie na kurytarzach i w stajni nietłuczono, w razie stłuczenia podchorąży za karę musiał sam latarnię do szklarza zanieść i swoim kosztem zreperować. To też codziennie prawie wszystkie latarnie były pobite, a podchorążowie tym sposobem nieproszone dostawali urlopy. To trwało ciągle do samej rewolucyi. Mnóstwo innych dowcipów wymyślali, żeby się z koszar wykradać, i na złość robić pułkownikowi. To też zwykle loch podchorążymi bywał napełniony, gdzie poncz i wino przez kolegów poddawane czas skracały, i dodawały ciepła przy bardzo lekkiem zazwyczaj ubraniu. Między innemi konceptami był jeden, co się przez długi czas udawał. W koszarach szkoły podchorążych konnych stały konie i kareta generała Tomasza Łubieńskiego. Nadrobiono z furmanem, który codzień ukrytego w karecie podchorążego wywoził, a wracając w nocy odwoził nazad. Byłoby się do końca to udawało, żeby się przed jakąś ciocią nie wygadał był podchorąży, a ta pod sekretem przyjaciołkom rozpowiedziawszy, zrobiła, że ten przemysł po wielkiej burzy ze strony pułkownika i kapitana, po licznem zapakowaniu do lochu winowajców i obiciu furmana, ustał.

Źle i nieczysto karmiono podchorążych kawaleryi. Jak utrzymywali niektórzy, że to był koncept kapitana Wrześniewskiego, który miał być w spółce z markietanką szkoły, i wiedział, że ci co mają pieniądze, drogo opłacać musieli dodatki do złych obiadów.

Ponieważ wszystko w szkole jazdy odbywało się na trąbę, tak jak u nas na bęben, a trębacz z gwardyi kirysyerów nazywał się Antonów, więc podchorąży Borejko zrobił dwa wiersze w wiecznej pamięci zostające:

Tromba Antonowa chrapliwemi głosy
Wzywa podchorążych na smrodliwe sosy.

Byłem w zimie za urlopem na wieczorze u znajomej mi pani Kier.; było tam kilkunastu młodych wojskowych, a między tymi dwóch podchorążych 2 pułku ułanów, obydwa ze szkoły. Sławni tancerze, powykradali się na wieczór bez urlopu. Muzyka gra tęgiego mazura, obadwa stoją w parach na przeciw siebie, zaczynali jakąś figurę. Raptem otwierają się drzwi, w których okazuje się zielony mundur

http://rcin.org.pl

z białym kołnierzem i sztabsoficerskie epolety. Podchorążowie jak piorunem rażeni stanęli jak wryci, rozumiejąc, że to ich pułkownik. Zmiarkował o co idzie poczciwy i godny zewszechmiar, na ten czas jeszcze major Schnejde, i rzekł z uśmiechem:

— Tańcujcie tylko żwawo, ja Czarnomskiemu nie powiem.

Wieczór się skończył wesoło, i podchorążowie szczęśliwie wślizgnęli się nazad do koszar, gdzie na ich pryczach leżały manekiny, przykryte kocem z głowami.

Mówiłem wyżej, że razem ze mną zaciągnął się Ruszczyc, z którym często się widywałem, i od którego dowiadywałem się o podchorążowskich sztukach. Tak opowiadał mi wiele o dobroduszności dwóch Komarów, którzy także razem z nami wstąpili, i razem z nim służyli u huzarów gwardyi, i byli także w szkole. Ciągłe im figle płatał. Między innemi nie mieli talentu wydobyć się z koszar; a dowiedziawszy się, że ich jakaś ciocia przyjechała z Ukrainy, koniecznie chcieli się z nią widzieć. Pułkownik czegoś zły, urlopów nie chciał dawać, więc na radę do Ruszczyca. Ten namyśliwszy się obiecał, że ich nazajutrz rano wyprawi, ale za fatygę kazał im dla kilkunastu kolegów zafundować wieczór przed wyprawą wazę ponczu. Kazał im nazajutrz rano poubierać się ile możności paradnie, zaprowadził do stajni, której okna wychodziły na plac musztry. Właśnie odbywała się piesza, i sam pułkownik był przytomny.

Wiedział o tem niecnota, kazał jednemu z Komarów wyleść na stół, i pomagał mu żeby tyłem nogami naprzód, wysuwał się. Jak tylko pułkownik zobaczył buty glansowane i czerwone spodnie, dał znak żeby wszyscy stali i spokojnie milczeli. Spadł Komar na nogi: a obróciwszy się ujrzał Czarnomskiego jak głowę meduzy. Tymczasem Ruszczyc puszcza drugiego brata, ale głową; biedak chciał się cofnąć, ale już było za późno, „daj go tu! za uszy!“ krzyknął pułkownik. Poskoczyli podchorążowie śmiejąc się do rozpuku wyciągnęli biednego Komara i koło brata postawili, „do lochu na 14 dni w koszulach! dusić, dusić, dusić!“ To było jego faworytalne wyrażenie.

Opowiadał mi jak raz, kiedy jeszcze istniała gwardya ułanów polskich, dano rozkaz, ażeby podchorążowie siedli oklep na dekach tylko na konie, i stępo na spacer pojechali; droga szła przez nowy Świat. Na balkonach i w oknach pełno kobiet. Jak tu można było wytrzymać, i nie wziąść konia w kupę? Zaczęli tedy rznąć lansady, wszystkie konie bardzo się rozogniły; między innemi siedział na koniu dzielnym podchorąży Michał Czacki doskonały jeździec, dał koniowi ogromne ostrogi, koń się spiął, a potem obydwoma zadniemi nogami wierzgnął tak, że się podkowa urwała i leci na balkon z całą siłą, napełniony kobietami. Szczęściem żadnej nie skaleczyła. Na tym balkonie mieszkała pani Zawiszyna z trzema bardzo ładnemi córkami, u których gromadziła się młodzież wojskowa z jazdy, doskonale przyjmowana. Wszyscy się w Zawiszankach kochali. Po spacerze przebrał się Czacki w paradę, i poszedł przepraszać te panie, za strach jakiego ich nabawił. Tam poznał pannę Pilchowską; koło której podkowa najbliżej przeleciała, i która ze strachu zemdlała. Panna była przystojna, zalotna i bardzo zręczna. Zaczął coraz częściej bywać, zakochał się po uszy, a zostawszy wkrótce oficerem wziął dymisyę, ożenił się z nią, i do jej śmierci siedział okrutnie pod pantoflem. Takie było jego przeznaczenie. Nie raz małe przyczyny pociągają za sobą wielkie skutki.

Ale dosyć o kawaleryi, wróćmy nazad do naszej szkoły piechoty. W roku naszego wejścia podchorążowie jeszcze nic nie myśleli o przyszłości. Służba czas zabierała, po służbie myślano o zabawach; niektórzy czytali najczęściej romansy, i tłuste poezye, gdzie niegdzie tylko siedział który z poważniejszą xiążką w ręku, udzieloną przez którego z oficerów instruktorów, do których się pojedyńczo prawie potajemnie garnęli. Wtenczas to jeszcze reszta szkoły patrzała na nich z ukosa, nie przeczuwając, że to miał być zaród stowarzyszenia patryotycznego, które 1831 rok wywo-

http://rcin.org.pl

łało. Cześć tym ludziom za ich pracę niezmordowaną, wytrwałość, poświęcenie się i tajemnicę, którą udało się przechować do końca, pomimo coraz więcej rozszerzającego się związku.

Na wiosnę przykomenderowano do nas oddział junkrów z korpusu litewskiego na naukę musztry, która w tym korpusie na sposób polski zaprowadzoną została. Piękna to była bardzo młodzież i dobra, ale z bardzo tylko małemi wyjątkami umysłowo wykształcona. Przeszedłszy jak każden z nas szkołę rekruta i żołnierza stawali z nami podług wzrostu do frontu. Nie byli oni jeszcze tak wyrobieni jak my, więc niektórym przez litość (chociaż to było zabroniono) cicho się podpowiadały tempa przy robieniu bronią. Nadjechał do Warszawy wielki xiąże Michał, pod którego zwierzchnictwem stały wszystkie zakłady naukowe wojska rosyjskiego.

Przychodził często patrzeć się, jakie postępy te junkry robią.

Pewnego razu cała szkoła była wraz z junkrami ustawiona na placu ujazdowskim. Było robienie bronią. Wielki xiążę Michał stał na przeciw środka, obok komenderującego pułkownika. Na przeciwko niego prawie, stał w szeregu między mną a podchorążym Bietkowskim, junkier śliczny chłopak, który aż drżał na widok tego wysokiego, barczystego, surowego xięcia.

Zakomenderowano nabijanie dowolne. Ten manewer pomimo że najtrudniejszy w robieniu bronią, tak szedł doskonale, że się zdawało, jakoby wszystkie ręce karabiny i ladsztoki jedną i tą samą sprężyną poruszane były. Wszyscy sobie w myśli tempa rachowali. Spostrzegłszy Bietkowski, że junkier zmięszany, cicho prawie bez otwarcia ust tempa mu podpowiadał. Wszystko szło doskonale, aż do włożenia ladsztoku na swoje miejsce; wpuścił go biedak w lufę, a że poprawiać się nie można było, wziął na ramię broń.

Spostrzegł to swem bystrem okiem wielki xiążę Michał; kazał wziąść do nogi broń, przyleciał w największej pasyi do drżącego junkra, i rznął go tak silnie w twarz, że go krew oblała, padł na bok i powalił Bietkowskiego i jeszcze dwóch innych swoim impetem.

Wszyscyśmy pobledli ze zgrozy, strachu i oburzenia. Biedny junkier zakrwawiony zerwał się i stanął w szeregu. Od tej chwili propaganda związkowa zaczęła się po trochu rozszerzać, a wzmagała się coraz bardziej nienawiść do panującej familii moskiewskiej.

Dwa lata spędziłem w szkole, a że w życiu i pracach naszych ciągła była jednostajność, więc o tem nie mam co mówić. Wspomnę tylko o niektórych wypadkach, jakie w garnizonie naszym przez ten czas zaszły.

W czasie obozu, gdzie się znowu z Adolfem widziałem, z którym o Julii nagadać się nie mogłem i ciągle o niej myślałem, kazał wielki xiąże odkomenderować po oddziale z każdego pułku piechoty, dla asystowania ścinaniu na śmierć skazanej młodej przystojnej dziewczyny, która swoją panię siekierą w łóżku zabiła. Dziewczyna nazywała się Rozmuszewska. Wystąpiło wojsko w lejbikach bez broni, uformowano na polu za rogatkami jerozolimskiemi czworobok, w którego środku stało rusztowanie a na niem krzesło i kat nazwiskiem Bem w czerwonym z galonami mundurze.

Przywieziono delikwentkę na wozie białą kobyłą zaprzężonym, a obok niej siedział kapucyn, przygotowujący ją na śmierć. Piękność tej kobiety, jej spokojność w ostatniej chwili życia, obudziły wielkie współczucie we wszystkich żołnierzach.

Pewnym krokiem wyszła po schodkach na rusztowanie, gdzie stanąwszy przemówiła do masy zgromadzonego ludu, zaklinając, ażeby się zbrodni wystrzegał. Posadzono ją na stołku i przymocowano do poręcza sznurami. Kat zebrał jej długie blond włosy i ustrzygł przy samej skórze z tyłu. Zawiązano jej oczy, a kat ująwszy oburącz miecz szeroki i błyszczący, wywinął nim ponad głową i ciął ją w kark. Głowa się pochyliła na piersi, fontanny krwi trysnęły do góry, ale głowa nie spadła. Zmięszał się kat, ciął raz drugi i trzeci, nim ją od tołuwa oddzielił. Poczem wziął głowę za resztę włosów, podniósł do góry, i

http://rcin.org.pl

drzącym głosem wymówił zwyczajną formułkę: „Ojcowie i matki, strzeżcie wasze dziatki itd.“

Ta exekucya wielkie wrażenie zrobiła na żołnierzach; wszyscy prawie pobledli, a niektórzy, szczególnie starcy tak osłabli, że ich trzeźwić trzeba było.

Nie pojmuję na co to widowisko sprawił wielki xiążę dla wojska.

W czasie tego samego obozu, stał wielki xiążę na rewii przed frontem pułku gwardyi strzelców pieszych rosyjskich. W pierwszym batalionie maszerował przed plutonem porucznik Dowrey, syn naczelnika dowódzcy korpusu litewskiego, bardzo dystyngowany chłopak. Maszerowanie jego nie podobało się pułkownikowi, któren na koniu do niego przyskoczył, i jakieś mu wielkie grubijaństwo powiedział.

Dowrey odpowiedział mu godnie, ale zuchwale. Posłyszał to wielki xiąże i kazał Dowremu oddać szpadę, i iść na *pałocznię* (sztokhaus). Niechciał słuchać; mówiąc: że będąc oficerem, nie tam powinien być aresztowany. Wielki xiąże krzyknął zapienicny, żeby go żołnierze zanieśli. Na co Dowrey złamał na kolanie szpadę, oberwał sobie epolety, i rzuciwszy to wszystko pod nogi konia wielkiego xięcia, dał się warcie zaprowadzić. Wielki x. wrzeszczał, iż go rozstrzelać każe, że go zgnoi w kazamatach; klął wszystkiemi językami, porzucił obóz i poleciał do Warszawy. Wszyscy byli ciekawi, jaki los spotka tego młodego człowieka.

Dowrey zaprowadzony do Warszawy, siedział kilka dni na głównym odwachu, nim sąd wojenny złożono. Tymczasem przyjaciele dali znać jego ojcu, który z Brześcia przyleciał, prosząc o dymisyę, jeżeli kara dla syna złagodzoną nie będzie. Wdało się w to jeszcze kilku jenerałów, nawet i xiężna Łowicka, i stanęło na tem, że został degradowany, i na prostego żołnierza odesłany do 25 dywizyi pułku żytomierskiego korpusu litewskiego, stojącego na Wołyniu we Włodzimierzu. Pułkiem tym dowodził pułkownik Fere, Szwajcar, szukający karyery w Rosyi. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że się starał ile możności osładzać los biednego Dowreya, który za kilka lat zostawszy znowu oficerem, wziął dymisyę, i na wieczne czasy Rosyę opuścił.

Fere był już jenerałem w r. 1831, wolny Szwajcar, bił się z wybijającymi się na wolność Polakami; mocno był raniony dnia 25 lutego w Olszynie pod Grochowem.

Jakem wyżej wspomniał, stał ciągle pułk czwarty liniowy w Warszawie. Rekrutował się zazwyczaj w samej stolicy między rzemieślnikami, dworskimi służącymi, kelnerami i t. p. brukową młodzieżą. Z tego powodu wzrost żołnierzy był mniejszy jak innych pułków liniowych; Za to zgrabność, postawa i wyrobienie były daleko swobodniejsze, precyzya w mustrze dochodziła do najwyższego stopnia doskonałości, a nawet elegancyi. Wielki xiążę pasyami ten pułk lubił, stawiał go za przykład innym pułkom, które go znowu dla tych samych przyczyn nienawidziły. Z drugiej strony był to zbiór filutów, figlarzy, oszustów i trochę nawet złodziei. Ale wszystko odbywało się z pewnym ulicznikowskim dowcipem i wesołością. Pułk ten był postrachem żydów, którym wielkie psoty robili, do tego stopnia, że jak się kilku czwartaków zjawiło na ulicy franciszkańskiej, a dał się słyszeć krzyk: „Weisse Dragonkes,“ żydy zaraz sklepiki zamykali. Bo też zdarzało się, że jak z niewinnemi minami szli jeden za drugim przez tę ulicę, pierwszy na czele wstępywał do sklepu, coś tam targował, a targując pokazywał koledze za nim stojącemu, ten zaś podawał dalej; i tak z ręki do ręki idąc towar przepadał, a żydzi nie wiedzieli u kogo się upominać. Nieskończone były skargi; lecz winowajcy prawie nigdy niewykryto.

Pewnego dnia w zimie, wielki xiąże wysiadając z kocza przed koszarami 4go pułku, zrzucił z siebie płaszcz bobrami podszyty, i oddał go żołnierzowi stojącemu przed koszarami. Wychodząc, woła o podanie płaszcza, lecz ani płaszcza, ani żołnierza odszukać nie było można. Rejwach w koszarach, rewizya najostrzejsza przez parę dni, wszyscy żołnierze konsygnowani, a płaszcza jak niema tak niema. Nareszcie ostygł wielki xiążę z pasyi, śmiał

http://rcin.org.pl

się z odwagi złodzieja, który na własność jego się targnął, i obiecywał, że nietylko karać nie będzie, ale nadto wynagrodzi sowicie sprawcę, byle się tylko przyznał. Obietnice Konstantego nie wzbudzały wielkiego zaufania, bo płaszcz na wieki przepadł.

Inną razą jadąc swemi kasztankami, spostrzegł żołnierza z 4go pułku dobrze pijanego na ulicy, a że na prędce niebyło nikogo, żeby pijanego na odwach odprowadził, kazał mu za spuszczonym koczem stanąć, i dał do trzymania koniec rękawa od płaszcza, żeby go zawsze czuł. Czwartak nie w ciemię bity, wiedząc czem to pachnie, dobył sznurka z kieszeni, i przywiązał rękaw do budy. Zatrzymawszy się koło odwachu, zawołał w. x. podoficera, żeby zabrał pijaka. Podoficer zapytał:

— Którego?....

— Tego co za koczem stoi. I obróciwszy się, gdy spostrzegł, że nikogo niema, a płaszcz przywiązany, zaczął się śmiać na całe gardło, i mówić: Oto chwat!

Wielki xiążę sam nigdy wódki nie pijał, dlatego też pijaków antypatycznie nie cierpiał. I tak kiedy z rana posyłki się meldowały, a obaczył którego mocno na twarzy czerwonego, co się przy ściskaniu mocnem w pasie i krawaty często wydarzało, kazał mu na siebie i na całą świtę chuchać; biada temu, od którego wódka śmierdziała. Z tego powodu pilnowali wszyscy, zacząwszy od sierżanta do pułkownika — tych, co byli komenderowani na posyłki, ażeby nietylko nic nie pili, ale nawet od wczorajszego obiadu nic nie jedli.

W roku 1818 był następujący wypadek. Na paradzie na Saskim placu, ujrzał wielki xiążę kapitana K., starego Napoleonczyka, którego nie lubił, wiedząc, że ma miłość żołnierzy. Kapitan K. był zawsze czerwony, więc naturalnie musiał być pijany. Przystąpił do niego.

— Ty pijany!

— Nie piłem dzisiaj — odpowie.

— Chuchnij na mnie! Kapitan chuchnął.

— Pijany, i kazał zacząwszy od Kuruty wszystkim wąchać jego oddech. Wszyscy, żeby się niesprzeciwić nieomylności wielkiego xięcia, utrzymywali, że kapitan pił wódkę. Przyszła kolej na jenerała Chłopickiego.

— Powąchaj jenerale. Chłopicki powąchał i rzekł:

— Nie czuję wódki, może dlatego, żem ją sam dziś pił, bo to mój zwyczaj rano.

Wielki xiążę na taką odpowiedź nieprzygotowany, zaczął się wściekać na wszystkich Napoleończyków, nazywając ich buntownikami, psującymi subordynacyę w wojsku, demagogami i t. d. Nakoniec niemogli obecni rozumieć słów jego, wylatujących z zapienionej gęby, a gdy mu już słów niestało, porwał za kapelusz, rzucił nim całą siłą o ziemię, że się aż rozleciał, wybiegł z placu, siadł do kocza, i z gołą głową popędził do Belwederu.

Jenerała Chłopickiego i kapitana K. aresztowano, a po wysiedzeniu 24 godzin na odwachu, obadwa podali się do dymisyi, i zaraz ją otrzymali. Chłopicki bawił potem ciągle w Warszawie, aż do dnia 29 listopada 1830 r. mało się pokazywał na ulicy, ale go wszyscy znali, i pomimo że chodził po cywilnemu, każden żołnierz czy młody oficer go salutował. Najczęściej udawał, że tego nie widzi, i nie odkłaniał się. Tę jego dumę czy lekceważenie brano zawsze za chęć niekompromitowania się, gdyż byli tacy, co rozsiewali wieści tajemnicze, jakoby Chłopicki stał na czele spisku, i że on z czasem ojczyznę wybawi z pod tyranii moskiewskiej. Co niestety, w czasie gdy była możliwość zrzucenia jarzma, zupełnie się nie sprawdziło.

Nie będę się dłużej rozpisywał nad postępowaniem Chłopickiego, którego historya oceni.

W tym samym czasie był w wojsku jenerał brygady Konarski, Tatar, mahometanin, człowiek prosty, ale bardzo waleczny i wielu ranami okryty. Kiedy raz na paradzie, gdzie jak to wyżej mówiłem, jenerałowie obok wojska defilować musieli, a Konarski podług formy nóg nie podnosił, przyskoczył do niego wielki xiąże, i w pasyi kazał żeby nogi tak jak żołnierze wyciągał, odrzekł:

— Nie mogę, bo mi rany dokuczają, ale

http://rcin.org.pl

ja takim krokiem jak dzisiaj szedłem pod Austerlitz, i byłem w Moskwie.

Natychmiast go aresztowano na czas dłuższy, poczem podał się do dymisyi. Takto wielki xiąże starał się ile możności usuwać z wojska polskiego wszystkich dawnych oficerów, którzy niechcieli ulegać służalczo jego kaprysom. Dokonał tego, bo ci co pozostali, jakoto Różniecki, Karnkowski, Rautenstrauch, Hauka i wielu innych, gorszymi byli od samych moskali.

Później pozbył się także p. pułkownika Gutakowskiego, bardzo tęgiego oficera fliegel-adjutanta cesarskiego; któren będąc szwagrem w. xięcia, bo miał za sobą siostrę xiężnej Łowickiej jako dumny z rodu i zarozumiały Poznańczyk, zaczął w. xięcia w życiu prywatnem traktować jak szwagra. W. xiąże niecierpiał żadnego poufalenia się ze swoją świętą osobą, i zaczął Gutakowskiego prześladować tak, że za radą familii i przyjaciół wbrew nawet woli cesarza, któren go osobiście bardzo lubił, musiał służbę porzucić.

Wiele było podobnych ze starymi wojskowymi wypadków. Wszędzie odznaczał się w. xiąże największą nienawiścią i niesprawiedliwością dla oficerów dawnej organizacyi; wyczyszczał, jak sam mówił, szeregi z tych szkodliwych ludzi.

Był w gwardyi artyleryi konnej polskiej podoficer Grotkowski, krewny xiężnej Łowickiej, bardzo przystojny, i dystyngowany młody człowiek. Pewnego razu, będąc w szkole na teoryi dawanej przez oficera gbura, chciał wyjść na chwilę ze szkoły. Oficer niepozwalał: tenże niezważając na to zbliżał się już do drzwi; raptem zeskakuje oficer z katedry, chwyta Grotkowskiego za piersi, chcąc go nazad do ławki wtrącić. Grotkowski oburzony palnął go w twarz, że aż się przewrócił. Natychmiast aresztowany, oddany pod sąd, skazany został na śmierć. Wpływ xiężnej Łowickiej tego dokonał, że po wyprowadzeniu na plac rozstrzelania, po wytrzymaniu drugiej komendy do dania ognia, złagodził w. xiąże karę śmierci na 20 letnie więzienie z kulą, w Zamościu też dosiedział do 1830 roku.

Tego samego roku przed wyjściem mojem ze szkoły podchorążych, osadzono w lochu na kilka tygodni 2 podchorążych, to jest Migórskiego z gw. strzelców konnych i Peretiatkowicza z gw. grenadjerów, za jakieś brudne excessa.

Było to w zimie w czasie wielkiej śnieżnicy, kiedy na wartę do aresztantów komenderowany był oddział gw. strzelców konnych, z podchorążym Wigurą, bardzo poczciwym chłopcem. Migórski w nocy prosi Wigurę, żeby ich obydwóch na parę godzin wypuścił do miasta, obiecując pod najświętszem słowem honoru, że wrócą za 2 godziny do kozy, tylko się muszą trochę ogrzać. Biedny Wigura lituje się, i pozwala wyjść tym niepoprawnym lampartom.

Każden z nich udał się w inną drogę; gdzie był Migórski, niewiem, ale Peretiatkowicz poleciał prosto do jakiegoś szynku; tam się spił, i zaczął excessa wyrabiać, do tego stopnia że gospodarz był przymuszony posłać po wartę. Nadszedł patrol rosyjski. Peretiatkowicz nadzwyczajnie silny, wydarł broń pierwszemu żołnierzowi, i cały patrol kolbą walcząc pokaleczył, i rozpędził. Byłby uszedł gdyby na ten okrzyk nieprzybiegło więcej żołnierzy. Po długiej walce został ujęty, i na odwach zaprowadzony. Gdy się przekonano, że on wypuszczony został z lochu, natychmiast adjutant placu poleciał na miejsce, przejrzał listę aresztantów, a niezastawszy jeszcze Migórskiego, aresztował Wigurę, którego wraz z obydwoma winowajcami pod sąd oddano.

Peretiatkowicz skazany został na śmierć, ale zmieniono wyrok, tak jak Grotkowskiemu na 20 lat z kulą. Migórskiego osądzono na 20 lat bez kuli, Wigura został zaś zdegradowany, i oddany na prostego żołnierza bez wysługi do piechoty, wysiedziawszy poprzednio 3 miesiące w lochu.

Kończył się drugi rok mojej bytności w szkole podchorążych; wkrótce stanąć nas mu-

http://rcin.org.pl

siało dwudziestu kilku do examinu przed w. xięciem.

Byłem pewny siebie; umiałem tak teoryę jako i praktykę tak doskonale, że zacząwszy od pułkownika Olędzkiego, wszyscy oficerowie nasi i koledzy byli pewni, że po examinie awansować będę na podporucznika.

Nadszedł nakoniec ten wielki dzień strachu i nadziei. Wystąpiliśmy wszyscy w największej paradzie. Odbył się najsamprzód examin teoryi przy tablicy. Wszyscy prawie szczęśliwie przeszli. Wielki xiąże był w niezłym humorze; oczy mu się roześmiały, czoło rozfałdowało; w każdego z nas duch wstąpił. Chodziło jeszcze o praktyczne komenderowanie, zacząwszy od szkoły żołnierza aż do pułku; wszystko szło doskonale, a wróciwszy nazad do koszar byliśmy pewni, że najmniej połowa awansować będzie. Nazajutrz rano zawołał nas pułkownik i oświadczył, że wielki xiąże był zupełnie zadowolony examinem, lecz ponieważ zaprowadzone niektóre nowe dodatki do musztry, których nas uczono, nie są jeszcze znane w pułkach liniowych Polskich, i w korpusie litewskim, więc nikt tym razem na oficera nie postąpi, póki przez rok nie będzie instruktorem w jakim z pułków, poczem niezawodnie wszyscy awansować będą, jeżeli i pułki powyuczają, i sami się dobrze sprawować będą.

Pospuszczaliśmy nosy na kwintę, ale ponieważ na taki wyrok nie było apelacyi, więc każdy się cieszyć musiał nadzieją większej wolności, jako instruktor, swobodniejszego życia szczególniej, jeżeli którego los do korpusu litewskiego zaprowadzi, gdzie pułkownicy i oficerowie bardzo lubieli instruktorów z Warszawy.

Za parę dni wręczył pułkownik każdemu z nas rozkaz z przeznaczeniem do jakiegoś pułku. Każden z nas prawie poszedł do cudzego. Jakież było moje zadziwienie przeczytawszy, że za odznaczenie się przy examinie, spadł na mnie honor uczenia własnego pułku, z którym byłbym się chętnie na jakiś czas pożegnał. Nie było rady; z niewielkiem ukontentowaniem, odebrałem z rąk pułkownika nakaz, oraz pieniądze na pocztę, ażeby nazajutrz rano bezzwłocznie udać się do Zamościa.

Pożegnawszy się serdecznie z kolegami, ruszyłem z Warszawy. Poczciwy Stanisław, odprowadził mnie do Miłośny, gdzie przy butelce wina, pożegnaliśmy się prawie ze łzami. Jadąc dalej, marzyłem. Jeżeli z jednej strony żal mi było serdecznie epoletów, to z drugiej widziałem palec opatrzności zbliżający mnie do mojej ubóstwianej Julii, marząc o przyszłem szczęściu, o częstszem widywaniu się w niedzielę i święta wolne od instrukcyi, a może i o ożenieniu, jak już raz, za rok obiecany, z pod karabina wylizę.

Przybyłem do Zamościa wieczorem. Poszedłem natychmiast zameldować się adjutantowi, któren rozkaz odemnie odebrał, i zalecił żebym nazajutrz rano zameldował się pułkownikowi. Pobiegłem do mego poczciwego Żelskiego, któren się mną bardzo ucieszył. Nadszedł Adolf, po serdecznem przywitaniu, mówił mi wiele o Julii wspominającej mnie często, o rodzicach, którzy mnie polubili; nakoniec o Juzi przyjaciółce Julii nadzwyczajnie wesołej i pustej dziewczynie, w której się sam po uszy zakochał. Znajdując się obydwa w podobnem położeniu, gadaliśmy o naszych kochankach do późna. Adolf poszedł do swoich koszar, ja zaś do domu zajezdnego, nie mając dotąd wyznaczonej kwatery.

Nazajutrz była niedziela; po paradzie kościelnej udałem się do pułkownika, któren był dosyć kontent, że ja na instruktora przybywam, mianowicie zaś dla tego, żeby instruktor obcy nie rozgłaszał w wojsku jego tyranią i niesprawiedliwość.

Dał mi rozkaz, ażebym zaraz w poniedziałek rano wybrał po dwóch podoficerów z każdej kompanii na instrukcyę, którzy wyuczywszy się, w tej pracy pomagać mi mieli. W tym względzie kazał napisać rozkazy do wszystkich kapitanów.

Stanęło rano 16 podoficerów pod bronią, wszyscy w ogólności byli bardzo dobrze wyrobieni, niewiele więc czasu i pracy kosztowało mnie wyćwiczenie ich w nowych odmianach.

http://rcin.org.pl

Zameldowawszy pułkownikowi, że już są gotowi, kazał powtórzyć całą naukę.

Zaraz potem, każden z nich dostawał oddział własny kompanii i pod moim dozorem uczył, oficerowie musieli być przytomni, i sami z początku z bronią w ręku razem z żołnierzami się uczyli. Tu już się nieobchodziło bez pałek, któremi pułkownik i mój major sowicie obdarzali żołnierzy, szczególnie rekrutów. Major K. lubił namiętnie liczbę okrągłą. Był tego przekonania, że 50 pałek lepiej się w pamięć wbija jak 5, pięćset zaś lepiej służą do poprawy jak 50, i tym sposobem wymierzał napomnienia i kary w swoim batalionie. Słyszałem, że później wziąwszy dymisyę z mundurem i pensyą, przeniosłszy się do Galicyi i gospodarując w majątku żony, zastosował swój system do chłopów, którzy go za to często podpalali.

Gdybym był został instruktorem w innym jakim pułku, wolnoby mi było niedziele i święta przepędzać, gdzieby mi się podobało; ale pułkownik Czyżewski, nic o tem niechciał wiedzieć, i za każdym wyjazdem z Zamościa musiałem brać urlop. Najczęściej mi go nieodmawiano, ale jak na złość, kiedym sobie obiecywał najwięcej przyjemności w domu rodziców Julii, urlopu dostać niemogłem, co mnie do ostatniej pasyi przyprowadzało.

Zastałem już w Zamościu od kilku miesięcy zakutych i pracujących koło budowli twierdzy Grotkowskiego, któren się odznaczał swobodną postawą, Peretiatkowicza któren zadziwiał siłą, przy podnoszeniu ciężarów, i Migórskiego, któren sprytną układnością, wymową, podchlebstwem i nizkiemi ukłonami, zyskał sobie względy komendanta twierdzy, pułkownika Siemianowskiego, któren dowiedziawszy się, że Migórski pisze jak najlepszy kaligraf angielski, a do pracy fizycznej jest delikatnej i wątłej komplexyi, wziął go do swojej kancelaryi, i bardzo był zadowolony z prześlicznego pisma, dobrego sprawowania, i pilnego oddawania się pracy. Szczycił się przed drugimi oficerami swoim wynalazkiem, stawiając innym wolnym swoim pisarzom Migórskiego za przykład.

Siemianowski, był to dawniej oficer waleczny, salonowo wykształcony, dosyć oczytany, ale z charakteru lekki i popędliwy.

Za xięstwa warszawskiego, komenderował pułkiem piechoty, z którym miał wychodzić na kampanią moskiewską. Pułk stanął w gotowości do marszu na krakowskiem przedmieściu czekając xięcia Poniatowskiego do przelustrowania. Pułkownik Siemianowski przebiegł na koniu po przed samym frontem, dla ostatecznego wyrównania szeregu. W tem jeden żołnierz osłabł, i w chwili kiedy pólkownik do niego się zbliżał, podał się naprzód. Pułkownik w złości, chciał go końcem szpady wyprostować, ale czy istotnie żołnierz straciwszy przytomność, sam wpadł na ostre żelaza, czy pułkownik zanadto siły użył do naprostowania go, nikt nigdy się niedowiedział. Żołnierz bowiem padł trupem. Na to nadjechał x. Józef, któren będąc prawdziwie ojcem żołnierzy, oburzył się bardzo tym wypadkiem; kazał oddać Siemianowskiego pod sąd wojenny, któren byłby go niezawodnie na rozstrzelanie osądził, gdyby nie sławna obrona, sławnego z wymowy Ludwika Osińskiego. Darowano mu życie, ale od tego czasu, ani za dawnej, ani za nowej organizacyi nie dostał już pułku pod swoje dowództwo, tylko tułał się po sztabach i komendach placu, w ogólności więcej cierpiany jak lubiony w wojsku.

Migórski w wolnych od pracy chwilach rysował na zrzynkach papieru deseniki damskie, pejzarzyki, karykatury i t. p. bardzo ładne rzeczy. Rozsiewał je niby niechcący po swoim stoliku tak, żeby Pułkownikowi w oczy wpadały. Siemianowski zabierał te drobiazgi od niechcenia, i pokazywał w domach gdzie były damy, chwaląc się swoim artystą. Podobały się te roboty bardzo niektórym paniom, prosiły więc pułkownika, żeby im kazał porobić desenie do robót ręcznych. Szczęśliwy, że się płci pięknej małym kosztem może przysłużyć, przyszedł do kancelaryi w chwili, kiedy nikogo oprócz Migórskiego nie było. Pokazał mu pozbierane świstki papieru i zapytał:

— Czy to twoja robota?

http://rcin.org.pl

Migórski niby przestraszony, zaczął pułkownika przepraszać za psucie papieru, zostającego od kopert. Pułkownik napomniał Migórskiego, żeby się w rysunki nie wdawał, chyba na jego własne żądanie. Migórski ze skruchą obiecał stosować się do rozkazów. Uradowany pułkownik, któren sam niegdyś także nie źle rysował — podał mu myśli swoje do wykonania gustownych deseni do haftu. Migórski obiecał wykonać jak najlepiej, tylko prosił, żeby dla większej akuratności mógł dostać cyrkla, dobrych ołówków, pięknego papieru, penzlów i tuszu. Wszystkiego tego dostarczył mu Siemianowski, ciesząc się bardzo przyjemnością, jaką sprawi paniom. Migórski zaś, w tych rekwizytach widział wyswobodzenie się z niewoli. Wziął się zaraz do roboty, która bardzo pięknie, czysto i akuratnie, ale powoli postępowała umyślnie.

Był zwyczaj że w południe, jak na parę godzin rozchodzili się pisarze, Migórskiego w kancelaryi zamykano. Tego mu trzeba było, do przeprowadzenia planu, jaki sobie w głowie ułożył. W nocy zaraz zkomunikował się z Peretiatkowiczem i trzecim jeszcze więźniem, którego nazwiska zapomniałem, obiecując, że on w kancelaryi pofabrykuje paszporta, że Peretiatkowicz siłą swoją pokruszy kajdany, że wyszedłszy z kazamat, łatwo je zdjąć będzie, a jak wszystko się już wygotuje, oni znajdą się w wieczór rozkuci w pewnem miejscu umówionem, między gruzami, a ztamtąd korzystając z ciemnej zimowej nocy spuszczą się z wałów i znikną w fortecy.

Migórski ciągle rysował, więc bardzo rzadko już nawet używany był do pisania. Pewnego dnia wręczył pułkownikowi pięknie wyrobiony portret jego z pamięci, bardzo podobny; tak sobie tem ujął komendanta, że ten mu nawet z swojej kuchni kazał dawać jedzenie. Tymczasem w chwilach zamknięcia kancelaryi pracował usilnie nad paszportami.*)

*) Wszystkie szczegóły przygotowania do ucieczki Migórskiego i jego towarzyszy, słyszałem od niego samego zszedłszy się raz z nim w obozie, kiedy z pułkownikiem Zaliwskim maszerował na Litwę.

Już kilka razy z Adolfem jeździłem do ojca Julii i coraz więcej zakochany wracałem. Rodzice jej bardzo mnie polubili, nawet stary major nie taił się z tem, że chętnie takiego jak ja przyjąłby zięcia; lecz na to koniecznie trzeba było oficerem zostać.

Razu jednego wróciwszy z takiej wyprawy z Adolfem grzejąc się w mojej kwaterze, i rozmawiając o naszych miłostkach, wpada jak granat do mojej izby znany nam Krajewski, któregośmy od razu niepoznali. Ubrany był w stary prosty żołnierski płaszcz i takąż furażerkę — *Eh! bon soir mes amis* — uściskał nas serdecznie — „Co tu robisz?“ spytałem patrząc na płaszcz pułku naszego.

— Zatęskniłem za wami: i dotrzymałem danego słowa, pamiętacie?—Jakiego słowa?— zapytał Adolf. Przypominasz sobie Józefie, w obozie jakeśmy byli przed dwoma laty w baraku Grabowskiego, po wyjściu z lochu, za pojedynek z Referowskim, obiecałem, że się już z kolegami bić niebędę; ale że jakiego kawalerzystę moskala muszę zdywidować. Dwa lata czekałem na dobrą okazyę; nakoniec dokazałem swego.—Nalałem Krajewskiemu szklankę herbaty, którąśmy właśnie pili, a on dalej mówił:

— „Byliśmy na baliku przyjacielskim bardzo przyzwoitym; zabawa szła wesoło, dziewczęta były śliczne, i było ich dosyć; podchorążych było ze 30 polskich i rosyjskich różnej broni. Między moskalami znajdował się jakiś duży kiełbasowaty z kirysyerów junkier; ale jak mówili, z wielkiej familii. Od razu mi się niepodobał. Rzucał pieniądzmi, a dziewczęta się do niego garnęły. Nakoniec zagrano mazura, a on ciągnie do koła prześliczną Justysię. Nieznacie jej, bo niedawno w Warszawie się zjawiła. Zobaczywszy że ona nie z wielką ochotą z nim stoi, zerwałem się z ławki, skoczyłem między nich, i wydarłem ją z rąk moskala, zadziwionego moją śmiałością. Powiedziałem żem Justysię dawniej zamówił, i że ze mną tańczyć musi. Junkier chciał się ze mną borykać i już podnosił swoją zamaszystą rękę, ale nietracąc czasu, jak mu wytnę boxa

http://rcin.org.pl

w żołądek, tak się nogami nakrył. Moskale zebrali się w kupkę, i możeby było przyszło do ogólnej bijatyki, żebym niebył stanął na środku i nie krzyknął: Dajcie pokój koledzy; ta sprawa do mnie należy; ten Junkier mnie obraził, że ciągnął dziewczynę przezemnie zamówioną, a ja jego obraziłem, żem go trochę niedelikatnie na ziemi posadził, więc jeżeli niejest podłym, to niech się zemną bije. Na tę moją mowę uspokoili się wszyscy. Moskale otoczyli junkra, i stanęło na tem, że nazajutrz rano, mieliśmy się rąbać. Zeszliśmy się nad Wisłą, sekundanci chcieli, żebym wziął pałasz kirasyerski, ale niechciałem, bom był pewny, że temu junkrowi tasakiem moim dojadę.

Stanęliśmy naprzeciw siebie *en garde*; jakem tylko zobaczył, że mój przeciwnik szeroko machać zaczyna pałaszem, pomyślałem sobie *j'ai ton affaire*, dałem mu się niepotrzebnie wysilać, parując tylko, nakoniec jak się skurczę, jak się podrzucę do niego właśnie w chwili, kiedy mnie chciał w łeb zajechać; sparowałem cięcie koło samej gardy, a repostując, ciąłem go od ucha do brody, i urwałem jeszcze po łapie.

Padł nieborak krwią oblany bez pamięci, pokazując zęby z boku, zabrali go sekundanci. Ta rzecz nie dała się ukryć. Dowiedziano się, że to ja takem go naznaczył, doniesiono w. xięciu. Wpakowano mnie nasamprzód do lochu o chlebie i wodzie; do tego traktamentu tak byłem przyzwyczajony, żem sobie nic z tego nie robił.

Ale po trzecim miesiącu wyprowadzono mnie przed front mego batalionu, gdzie *Supristi!* przeczytano mi wolę w. xięcia, że mnie degraduje, i odsela na prostego żołnierza do 2go pułku strzelców pieszych, na pastwę dla waszego pułkownika.

Voila l'affaire. Przykro mi się diabelnie zrobiło, nic to, że mnie zdegradowano i tu odesłano, gdyż być generałem czy prostym żołnierzem pod naszym tyranem, to zupełnie wszystko jedno; zresztą w tej chwili ciebie Józefie i starego Żelskiego sobie przypomniałem. Więc są i znajomi, ale mnie martwiło, że w Warszawie miałem dwie ciotki, jedną baronowę, a drugą kasztelanowę. Obydwie mnie nie cierpią jak powietrze *et pour réconnaissance je les fais enrager*. W razach, jakem od matki nic dostać nie mógł (co się bardzo często wydarzało), udawałem się do której z tych elegantek, wybierając zawsze czas, jak miewały towarzystwo, a na ten czas żeby mnie się pozbyć, cośem utargował odczepnego. Tutaj już ta spekulacya ustała. Bo chociaż baronowa niedaleko z tąd mieszka, mnie urlopu nie dadzą, a choćby i dali, to cóż jej na wsi zrobię; pisać zaś nie warto, bo pewnie nie odpisze.

Wprawdzie Zamość to nie Warszawa; życie mniej kosztuje, trzeba się będzie 15ma groszami na dzień obchodzić. A od czego głowa? — Tu się uderzył po wystrzyżonej czuprynie.

W Warszawie bawiłem kolegów, a ci mnie lubili. Tutaj prosty żołnierz dokażę, że mnie żołnierze na rękach nosić będą. W Warszawie jak były pieniądze, wymyślałem w jedzeniu, bo *sac à papier*, znam się na kuchni. Pijało się *du punch à la romaine* i szampana; tutaj spakuje się kawałek brykacza (chleb komiśny), i wypije się masę śmierdziuchy, *ce n'est pas bon, mais cela grise toujours*, byle wesołości nie tracić; *voila l'essentiel.*

W Warszawie dziewczęta w piórach i atłasach, tu w grubych spodnicach i problematycznych koszulach, ale *au fond, cela revient au mème. Il faut prendre son parti! vive la gaité!!* A jak mnie to wszystko znudzi? *Adieu!* jest jeczcze ostatni resurs. Dwa łuty ołowiu i trochę prochu, *et tout est dit.*

Zabolał nas ten cynizm Krajewskiego; właśnie zabierałem się jakieś mu robić uwagi moralne, kiedy się dały słyszeć bębny i tromby capstrzykowe. Zerwali się Adolf i Krajewski, i każden z nich poleciał do swoich koszar. Zostałem sam w myślach pogrążony.

Żal mi było biednego Krajewskiego, któren, gdyby nie ta szalona, bezrozumna subordynacya w. xięcia, wykluczająca podoficera z wykształconego towarzystwa, mógłby był zostać

http://rcin.org.pl

przy takim zapasie życia i takiem rozwinięciu umysłu, bardzo dystyngowanym człowiekiem.

Zima tego roku była silna, zawierzuchy częste, musztra odbywała się tylko pod dachami.

Już minęły święta Bożego narodzenia, już się zapusty zbliżały. Roboty koło fortyfikacyi zawieszono; aresztanci po kazamatach siedzieli, rzadko z nich wychodząc na powietrze. Każdy z nich coś myślał zapewne, ale Peretiatkowicz z drugim kolegą układali plany ucieczki, i czekali tylko na wypracowanie paszportów.

Migórski coraz więcej w łaskach komendanta, bawił go swemi dowcipami; zadawalniał wyrabiając rysunki, a tymczasem już miał gotowe trzy paszporta, do których nic już nie brakowało, tylko przyłożenia pieczęci komendanta.

Nakoniec i do tego doprowadził.

Oddając pułkownikowi jakąś bardzo ładną robotę, z której był uszczęśliwiony, zabawiał Siemianowskiego jakiemiś humorystycznemi opowiadaniami w czasie, gdy ten pieczętował expedycye. W tej chwili wszedł adjutant placu, i meldował coś po cichu komendantowi. Ten się od stolika odwrócił, a Migórski robiąc niby porządki, rzucił na stolik papiery, które pieczęć przykryły. Była to chwila decydująca. Z wielkiem biciem serca usiadł do swego stolika, i zaczął coś z natężeniem robić niezwracając oczu w stronę pieczęci. Siemianowski zamknął bióro, zapomniał o zostawionej pieczęci, i wyszedł z kancelaryi, gdzie Migórskiego jak zazwyczaj zamknięto.

Cicho jak kot zbliżył się do drzwi; wysłuchiwał, zaglądał przez dziurkę od klucza. Serce mu biło jak gdyby piersi rozsadzić miało. Niebyło czasu do stracenia, wydobył z zanadrza paszporta, porwał za pieczęć, a nasmarowawszy drukarskiem czernidłem, które na osobnym stało stoliku, poprzykładał pieczęcie. Zaledwie uspiał pochować paszporta, pieczęć wytrzeć, i na swojem miejscu pod papierami położyć, wpadł komendant. Zastał go już spokojnie siedzącego przy robocie, pieczęć schował; wziął z sobą jakieś papiery, jak gdyby umyślnie po nich przyszedł. Rzucił okiem na Migórskiego robotę, poklepał go po ramieniu i wyszedł znowu jak gdyby nic.

Migórski odprowadzony został w wieczór do kazamat, i dał znak okiem swoim towarzyszom, że już wszystko gotowe. Był zwyczaj, że, jak w każdem więzieniu, przed położeniem się spać, aresztantów wyprowadzano po kilkunastu kurytarzem na dwór; gdzie stało zawsze kilku żołnierzy patrzących, żeby się który nieoddalił. Wicher, burza i zamieć śnieżna były okropne. Żołnierzom oczy śnieg zalepiał. Korzystając z tego spiskowi, jeden po drugim w różnych odstępach powysuwali się z linii, i udali się na miejsce umówione zebrania.

Peretiatkowicz porozłamywał okowy. Po przejściu pierwszego rontu pospuszczali się z muru, poprzełazili dalsze fortyfikacye, i znaleźli się nakoniec w czystem polu.

Lasy ordynackie nie były dalekie. Granica austryacka o kilka mil tylko odległa; tam ich czekała wolność. Ale główną do dopięcia tego celu rzeczą, była konieczna zmiana odzienia na jakiekolwiek bądź łachmany.

Szli przez całą noc lasem manowcami, protegowani zamiecią niespotkawszy żywej duszy. Nadedniem dobili do stogu siana, na odosobnionej łące. Tam postanowili wypocząć, cały dzień przeleżeć, i znowu nocą puścić się dalej.

Ledwie się pozakopywali w siano, ledwie oczy do snu kleić się zaczęły po tej okropnej fatydze i strachu, usłyszeli trzy jeden po drugim wystrzały z armaty na znak ucieczki więźniów dane. Nieobecność ich pokazała się dopiero przy ranniejszym apelu. Zaraz więc na wszystkie strony porozsyłano pogonie, do ścigania uciekających.

Pomimo tego nie ruszali się z miejsca, czekając nocy, tem bardziej, że zawierzucha ustawać zaczęła. O zmroku puścili się w dalszy pochód ku Józefowu; wymijając wszakże drogi z uchem i okiem wytężonem.

Siły wycieńczone głodem i brnięciem po zamieciach, zaczęły ustawać. Migórski pierw-

http://rcin.org.pl

szy spostrzegł światełko blade, zaczęli ostrożnie do niego zbliżać się; ujrzeli w odległości karczemkę samotną, właśnie w chwili, kiedy światełko zgaszono, podeszli do karczemki i zaczęli ostrożnie pukać w okienko. Wyszedł szynkarz, otworzył i wpuścił ich do izby. Rozpalił ogień w piecu, podał im po kieliszku żądanej wódki, i po kawałku chleba, przypatrując się ciekawie, ich aresztanckiemu ubiorowi.

Spostrzegł tę ciekawość Migórski, zawołał żyda, powiedział mu, że rzeczywiście byli więźniami w Zamościu, ale wysiedziawszy swój czas, zostali uwolnieni, pokazał mu paszporty, że idą prosto do Sandomierza. Żyd z dobroduszności udaną słuchał; zaczął litować się nad nimi, spytał czyby czego ciepłego zjeść niechcieli, i zaraz pobudził żydówki, które się zabrały do gotowania, a sam przyniósł trochę słomy, posłał ją w alkierzu i proponował, żeby sobie do dnia wypoczęli. Kręcąc się żydowskim zwyczajem po wszystkich kątach i sieni, napisał parę słów do arendarza wioski o małe pół mili od karczmy odległej, i wysłał do niej bachora, któren niby z konewką po wodę idąc poleciał manowcami.

Trzeba wiedzieć, że każdemu co się przyczyniał do złapania zbiega z fortecy lub dezertera płacono od głowy po 20 złotych. Żyd, który słyszał znajome w okolicy wystrzały; niebardzo dowierzał paszportom Migórskiego, ale pomimo tego bardzo był rad i uprzejmy dla swoich gości.

Posiliwszy się ciepłą strawą, pokładli się z mocnem przedsięwzięciem, opuszczenia przedniem karczmy, tem bardziej, że do granicy ledwie już dwie mile było.

Tym czasem, żydek zaleciał już do wioski, oddał kartkę arendarzowi, któren zaraz pospieszył do wójta gminy, żeby mu o tym wypadku zaraportować. Nieszczęście chciało, że w tej wiosce nocowało dwóch żandarmów wracających do Zamościa, z rozjazdu. Zawiadomieni o tem, dopomogli wójtowi gminy zebrać ludzi na sanie, i wraz z nim spiesznie i ostrożnie udali się do karczemki, żeby ją na około otoczyć.

Niespokój wewnętrzny spać niedawał biednym zbiegom. Zerwał się Peretiatkowicz; zaczął chodzić po izbie, a zobaczywszy w kącie wiszących kilka siermięg chłopskich, zastawionych za wódkę u szynkarza, zaczął z niem się układać o nabycie onych; co żyda w większe jeszcze podejrzenie wprowadzało, ale niechcąc pokazać nieufności przeciągał targ, jak najdłużej w nadziei powrotu żydka.

Niecierpliwy z natury Peretiatkowicz, odepchnął silną ręką żyda od odzieży, zawołał na nas, żebyśmy zabierali, i przebierali się jak najprędzej. Na to powstał krzyk w karczmie, żydówki i bachory wrzeszczały w niebo głosy. Żyd darł się z nami o odzież, taki się zrobił hałas w karczmie, że nic niesłyszeli jak ją otoczono; aż dopiero ocknęli się, zobaczywszy wpadających do izby żandarmów z pałaszami na temblaku i pistoletami odwiedzionemi w rękach. Rzucili się do okien, ale te strzeżone były przez chłopów z drągami.

Migórski który się w tej scenie zachowywał spokojnie, ukazał żandarmom i wójtowi gminy paszporta, które znaleziono w najlepszej formie. Ale ponieważ żyd wrzeszczał, że go rabują, więc nie jako zbiegów, ale jako rabusiów, powiązano tych nieboraków, pokładziono na saniach i odstawiono do twierdzy.

Gdy po apelu dowiedziano się w fortecy, że uciekło trzech więźniów, rozruch się zrobił wielki. Komendant latał jak wściekły. Dał rozkaz do pułku, żeby natychmiast zluzowano całą wartę. Aresztował kapitana inspekcyi na odwachu z oficerem komendantem warty.

Nasz pułkownik skonsygnował w koszarach cały garnizon. Zluzowano wszystkie warty, sprowadzono ich do jednej sali, gdzie się zaczynały inkwizycye, ażeby dojść, kto do ucieczki pomagał. Ponieważ tego na prędce dojść nie było można, więc skończyło się tymczasem, że wszyscy podoficerowie, co byli na warcie, i ci żołnierze, co stali koło kazamaty, popakowani zostali do najciemniejszego więzienia, reszta zaś niemiłosiernie rózgami obita została. Komendant natychmiast musiał raportować kuryerem ten wypadek do Warszawy. Sam w

http://rcin.org.pl

strachu o własną skórę, pastwił się wraz z naszym pułkownikiem i majorem K. nad biednymi żołnierzami, ćwicząc każdego po razy kilka, jeżeli tylko najmniejsze podejrzenie na którego padło, do czego obydwa szanowni sztabsoficerowie *con amore* mu dopomagali. Żadne piekło nie wyrówna temu cierpieniu, tej bojaźni, tym męczarniom fizycznym i moralnym, w jakich się przez tych parę dni znajdowała załoga.

Przywieziono nakoniec schwytanych zbiegów, zaprowadzono ich do najgłębszej kazamaty, gdzie dó muru łańcuchami poprzykowani zostali.

Duch trochę wstąpił w starszyznę i biedny garnizon odetchnął. Jednak środki ostrożności ciągle były obostrzone.

Przylecieli z Warszawy pułkownik Hurtig (późniejszy jenerał) z rozkazem odebrania komendy Zamościa od Siemianowskiego, któren został aresztowany we własnej kwaterze. Przyjechał i sztabsaudytor i Jurgaszko, kapitan żandarmów na śledztwo, i wyszukanie koniecznie współwinnych.

Kuryery nieustannie latały między Warszawą a Zamościem, jakby rzecz szła o spokojność i exystencyę całego państwa moskiewskiego. Zapisano stosy papierów; wyłamano na pałki las łoziny, i pomimo że do wiosny ciągnęło się śledztwo, nie wykryto nikogo, coby ucieczkę ułatwił.

W ostatnią niedzielę zapust, właśnie w czasie największego rozgardyaszu, byłem z rana w koszarach u Żelskiego, którego pokoik przedzielał dwie sale, mieszczące w sobie drugą kompanię.

Położyłem się na jego pryczy, czekając powrotu od raportu. Przyszedł nakoniec sierżant, zawołał ordynansa, który się nazywał Pirog; oddał mu lederwerki i kaszkiet do wytarcia, i ustawienia na swojem miejscu. Zatarł ręce, poprawił wąsa, furażerką nakrył łysinę, siadł koło stolika pod oknem, otworzył szufladkę, dobył papiery, poprawił pióro, i tylko co się miał zabrać do pisania, otworzyły się drzwi od kurytarza.

Wszedł znajomy mój w zielonej kurcie z czarnym baranem w rajtuzach skórą podszytych, z kresą, dzielącą twarz od czoła do brody, pomimo lewego oka, z parą siwemi, ogromnemi obmarzłemi wąsami, i obfitą jeszcze czupryną. Ekonom ojca Julci, dawny kolega Żelskiego i wielki jego przyjaciel. Obydwa pod starym majorem, który kompanią dowodził, w Hiszpanii służyli. Wspólność wytrzymanych trudów, pamięć zwycięztw i przebytych niebezpieczeństw pod tą gorącą strefą, w której każda twarz nieznajoma przedstawiała nieprzyjaciela, każden krzaczek lub załom skały posełał morderczą kulę, połączyła w trwałą i nierozerwaną przyjaźń te dwie bronzowe, poczciwe, chociaż zupełnie różnorodne istoty. Kordysz!! Żelski!! wydały razem silnym głosem dwoje piersi z radością.

Kordysz (tak się nazywał nowo przybyły) oderwał od wąsów dwie sztuki lodu. Roztworzyły się cztery silne ramiona. Serdeczne nastąpiło uściśnienie. Uściśnienie, któreby trzeciego między nimi spłaszczyło na opłatek. Wycałowawszy się serdecznie, puścili się raptem i odskoczyli od siebie, patrząc w oczy jeden drugiemu, jak gdyby od dawna się nie widzieli. Pirog! zawołał grzmiącym głosem sierżant. Pirog w mgnieniu oka stał już koło drzwi w płaszczu, wyprostowany, ręce na szwach, furażerka w prawej.

„Pirog!“ — Słucham panie sierżancie — „Masz tu 10 złotych, maszerować biegiem pod Karpia, przynieść sztosik kminkówki i dwie butelek porteru.“

— Słucham panie sierżancie.

— Przynieś jeszcze bochenek chleba świeżego od piekarza, wiesz?

— Wiem panie sierżancie — na rogu ulicy.

— Za resztę serdelków i kawałek sera źwierzynieckiego. — Marsz!

Pirog poleciał jak oparzony.

Wszystkie te rozkazy tak szybko były wydane, że flegmatyk z rodu Kordysz nie miał czasu przerwać komendy, i już Pirog daleko był za koszarami, jak się odezwał:

http://rcin.org.pl

— Kolego! — nie mam ani momentu czasu. Pan major wysłał mnie z rozkazem, żebym jak najprędzej wracał, porobił sprawunki na dzisiejszy bal, bo się pan major dużo gości spodziewa. Wstąpiłem tylko do koszar, żeby ciebie kolego uściskać i oddać list p. Adolfowi od panny Julii.

— A gdzie p. Adolf? — trwożliwem zapytał głosem, patrząc po wszystkich kątach kwatery.

— Zaraz przyjdzie, odezwałem się wstawszy. — Kordysz odetchnął jak wieloryb.

— Jak się ma szanowny nasz major?

— Zdrów Bogu dzięki; trzyma się, choć mu rany czasami w zimie dokuczają.

— A Julcia? — a panna Julia — poprawiwszy się zapytałem.

— Ten nasz aniołek zdrów także, tylko się martwi, bo jej p. major powiedział, że p. Adolf pewnie dzisiaj urlopu nie dostanie — spojrzał z ukosa na mnie, a ja okrutnego upiekłem raka.

Nowe otwarcie drzwi przerwało rozmowę. Wszedł kapitan inspekcyi; człowiek nie młody, z dwoma krzyżami na piersi, z twarzą, na której wesołość z łagodnością, oraz bystrym wzrokiem się malowały.

— Jak się macie chłopcy?

— Życzymy zdrowia p. kapitanowi — od powiedzieliśmy razem.

Spojrzał na Kordysza; poklepał go po ramieniu.

— Jak się masz stary?

— Zdrów jeszcze p. kapitanie.

— Co tu robisz?

— Przyjechałem z rozkazu p. majora.

— Pozdrów od dawnego kolegi tego szanownego męża.

— Dobrze p. kapitanie.

Przez czas tej krótkiej rozmowy ustał szmer w obudwu salach przybocznych, kapitan zajrzał i wszedł do jednej i drugiej. W każdej z nich stali już żołnierze w zapiętych płaszczach koło swoich pryczów. Nim skończył ten krótki przegląd, wpadł zadychany i pomimo mrozu zapocony Piróg. Popostawiał butelki na stoliku. Wódkę między porterem, przed niemi sardelki na bibule i ser na kawałku białego papieru, a na prawem skrzydle chleb i nóż wyostrzony.

Nadbiegł Adolf, rozerwał oddany sobie bilecik, przeczytał, potarł rękami podchorążowską czuprynę, dał mi list do przeczytania, i westchnął głęboko. Piróg już także stał przy swojej pryczy.

Wrócił kapitan z drugiej sali.

— Dobrze! wszystko w porządku. Spojrzał na stół. — A tu widzę na piękne śniadanie? Dobrze! dobrze! tylko nie głęboko w szkło zaglądajcie.

— Może pan kapitan zrobi nam honor? — z nieśmiałością odezwał się Żelski.

— Dobrze! kieliszek wódki nie zawadzi po paradzie na 18 stopni mrozu. Dowcipnie mówił ten Hiszpan w czasie naszej nieszczęśliwej rejterady z Moskwy *En mi tierra non asse tanto chalor comme a chi frio.* Szczególna rzecz te wypieczone południowcy byli jednak wytrzymalsi na zimno od Francuzów.

Żelski odkorkował, sztof nalał kieliszek wytarłszy go poprzednio czyściutką chustką, podając kapitanowi.

— Pij do mnie, rzekł kapitan, wszak nieraz z jednej pijaliśmy manierki.

Wypełnił rozkaz Żelski, wytarł znowu kieliszek, nalał; kapitan wypił i zakąsił kawałkiem chleba, zwracał się już do drzwi.

— Panie kapitanie — rzekł Adolf błagającym głosem.

— Czego chcesz?

— Niech pan kapitan raczy przeczytać — i podał mu list Julii.

Roześmiał się serdecznie kapitan, spojrzał na nas obydwóch.

— Chciałoby się tańczyć jak widzę, a tu urlopu ani weź. Chciałoby się poodsadzać ułanów z Krasnegostawu, — do djabła — szkoda. Żelski!

— Słucham pana kapitana.

— Pójdź do kapitana Dobr., który teraz powinien być w koszarach, powiedz mu, że go

http://rcin.org.pl

proszę, ażeby się do mnie pofatygować raczył. Poszedł sierżant.

— Na miłość Boga panie kapitanie! — ze łzami prawie zawołał Adolf.

— Cicho — rzekł kapitan.

— *Kordysz!* ja ciebie znam, wiem, że i turtury św. inkwizycyi nie wydusiłyby z ciebie niepotrzebnego słowa: Zostań!

— Słuchajcie chłopcy; i ja byłem młody, i ja modliłem się nieraz do czarnych oczu jakiejś Julii i szalałem za niebieskiemi Juzi. — Tu jeden po drugim z nas oblał się rumieńcem. — Dziękujcie Bogu, że na mnie dziś inspekcya. Tylko mieć rozum! — Urlopu sam papież wam nie wyrobi. Ale po południu wyjść niby na spacer za bramę, nająć żydka, albo chłopa, tańczyć do północy, wrócić trzeźwo i stać blisko bramy, jak otwierać będą. Nie zabałamucić się! Ja o tem nic nie wiem; a jak bym był przymuszony dowiedzieć się, podam w raporcie za dezerterów. Reszta wiecie.

Chcieliśmy ucałować ręce kapitana, niedozwolił. Uściskał nas jednego po drugim.

— Tylko rozum! — jeszcze raz powtórzył i poszedł. Kordyszowi łza spłynęła po wąsach.

— Zawsze dobry, zawsze poczciwy — rzekł obcierając oczy mankietem.

Wrócił Żelski, zaprosił nas na śniadanie, i tylko co staremu koledze nalał kieliszek, wszedł Krajewski, w grubym płaszczu, z którym biała, chociaż trochę za nadto zarumieniona twarz, białe i bardzo delikatne ręce, i ruchy pełne salonowej elegancyi, nie dobrze harmoniowały.

— *E vivau lós spaniolos! los negros! los blancos!* — zawołał patrząc na starych przyjaciół.

— Dobrzem trafił — *Caracho!*

— Kto funduje?

— Pan sierżant.

— Pan sierżant nie dopuści, żebym był obojętnym spektatorem tak miłego dla oczu moich widowiska.

— Panie hrabio! — odezwał się Żelski z uśmiechem. — Nigdym nie odmówił koledze udziału, mając szkło pełne i chleba kawałek. Służę — i nalał mu kieliszek.

— *A vos santis Messieurs! le diable de sergeant est un excellent camerade*, tylko czasami na kaznodzieję zakrawujecie.

— Panie hrabio! nie tutaj by było miejsce twoje, żeby...

— *Laisse donc mon cher, ce qui est fait est fait.*

— Lubię życie, a że zamiast porucznikiem w gwardyi, jestem u was żołnierzem, *cela m' arrenge.* Mam więcej kolegów, których bawię i którzy mnie bawią. *Je prends la vie telle qu'elle est.* Niech żyje wesołość! czy to w salonach Paryża, czy w karczmie za szczebrzeską bramą, to mi wszystko jedno! — Tak mówiąc łyknął piorunem drugi kieliszek wódki, i szklanką porteru zakąsił.

List Julii leżał na stole, Zobaczywszy go porwał, i zaczął głośno czytać:

— „Kochany bracie! dziś wielka feta u nas, urodziny moje. Spodziewamy się wiele osób, które papa chcąc ten dzień wesoło spędzić, pozapraszał. Będzie Józia, będzie kilku ułanów z Krasnegostawu, będziemy tańcować ochoczo, bo papa zamówił muzykę żydków z Biłgoraja; wiem jak oni do ucha grają.

Papa mówi, że ty nie będziesz mógł być z nami ani P. Z. którego papa bardzo lubi. Ja jednak mam jakieś przeczucie, i nietracę nadziei oglądania cię. Ach jakby to było dobrze, żebyś sobie choć na 6 godzin mógł wyrobić urlop.

Sciskam cię serdecznie. Julia.“

„*Eh bien! voila qui est diablement embêtant. Que ferez vous?*“ Skończyło się śniadanie. Kordysz pożegnał nas, i poszedł za sprawunkami z Żelskim. Wiedział o naszym projekcie, i radzie kapitana. Adolf niepotrzebywał odpisywać.

— Słuchajcie koledzy! Kiedy na balu być nie możecie, i naturalnie nudzić się macie *a vous avaler la langue* postanowiłem nieopuścić was, i rozrywać sentymentalnie serce wasze. *Faites ce qui bon vous semble, je en demordis pas.*

http://rcin.org.pl

— Pokażę wam, *ce que c'est qu'un bon compagnon.* Pamiętam, kiedy mnie wsadzili do lochu *pour changer* na trzy miesiące, w bardzo lekkim kostiumie, za ten głupi mój pojedynek z junkrem, zkąd wyszedłem bez galonków i bez nadziei epoletowej, wszyscy co dzielili ze mną te podziemne salony, ciągle zachodzili się od śmiechu, takem ich bawił, i tak mnie to bawiło, że mi nakoniec żal było opuszczać tych biedaków. Byłbym z chęcią dłużej został żeby mnie nie spotkał ten wielki zaszczyt, być wywiezionym i oddanym na prywatną zabawkę naszemu pułkownikowi, któren gotów przysiądz że zrobi ze mnie kapucyna. *Mon Dieu* — Kapucyna ze mnie!!! Ha! ha! ha! *c' est plus que ridicule.* Ze mnie, hrabiego Krajewskiego, wychowanego jak *monsieur le Vicomte d'Allard.* Ze mnie! Syna najweselszych rodziców. Ze mnie, co czerpał *um* w Dreznie, a między Paryżankami skończył edukacyę. Ze mnie, co miał w życiu więcej pojedynków, jak major K. włosów na całem ciele *Porbleu!* Poszedłem do wojska w roku 1815. Zdawało mi się, że noszę buławę marszałkowską w tornistrze. *Cela n'a pas reussie tant pis pour l'armée.* Jestem dziś żołnierzem w drugim pułku strzelców pieszych. *Mais dites?* widzieliście kiedy weselszego i dowcipniejszego kolegę? *Un peu mauvais sujet.* — Alełbo i Murat nie był lepszym za młodu. *Enfin papa* umarł niedawno. *Maman vit, et ne me donne rien. Mauvaise preuve d'un attachement maternel.* Woli wspierać, karmić i odziewać *avec ses vielles guenilles*, jakieś nudne, stare, niby nabożne dewótki. Traci czas drogi, *avec son directeur de concience* barczystym kapucynem, i koniec.

— *J'ai pris l'habitude du métier.* Żyję tem co mnie otacza. Żyję wesoło *ayant pour devise: Vive la joie, quand même.* Dopatrzył resztki po kieliszkach i w butelce, zlał do kupy i wypił. Po namyśleniu się rzekł.

— *Ecoutez! je ne suis pas bête.* Widzę i czuję co się święci. Kapitana inspekcyi znam na wylot, to buljon poczciwości. *Je parie donc, tout ce que j'e ne possède pas,* że wy dziś do majora pojedziecie. *C'est bon-mais.* Tu sęk. *J irai avec vous; au vous n'irez pas du tout nom d'un nom.*

Struchlelismy obydwa na tę przemowę Krajewskiego.

— *Ecoutez vous!* weźcie mnie ze sobą, nie będziecie żałowali. Ty Adolfie pożyczysz mi cienki mundurek. Ty zaś koszulę i krawatkę, *pour que je puisse paraitre convenablement et tout est dit.*

— Co tu z nim robić?

— Trzeba go wziąść — powiedziałem Adolfowi.

— Ja go już będę pilnował, żeby nas nie zgubił.

Krajewski siedział i kiwał założoną nogą na nogę.

— Krajewski!.... zawołałem.

— *Plâit-il?* — rzekł, patrząc z pode łba.

— Krajewski! Ty jesteś jeden z najdystyngowańszych ludzi. Na twoje słowo postawiłbym wszystko, co mi najdroższego na świecie, ale jak się zabałamucisz, jak się rozmarzysz winem, jak sobie coś do kogo upatrzysz, zapomnisz o wszystkiem, i gotóweś się wpakować w szary mundur, a nas w kazamaty.

— *Foi de Krajewski* cały mój rozum zbiorę w kupę. Zobaczysz co to jest *un homme de bonne societé.*

Pospuszczaliśmy nosy. K. spostrzegł nasze rzadkie miny, roześmiał się homerycznie.

— *Pauvres innocents! Vous avez peur.* Żaden Polak się nie boi. Żaden, niczego; prócz zhańbienia. Bądźcie dobrej myśli. Ja komendę obejmuję do wyjazdu, a ty Józefie, co czasem także takie kazania prawisz, żebyś z oczu stu dewotek rzekę łez wycisnął, dyryguj powrotem. *Ecoutez vous autres!* Znacie we mnie niespokojnego, i bardzo ciekawego ducha. Stworzony byłem jak Napoleon, na wielkiego człowieka. Jak on, jestem mały. Jak on, spać nie mogę; dwie godziny, a trzy najwięcej, *est plus que sufisant.* Jak niespię układam plany na pryczy. Jak wstanę wykonywam. Cały mój geniusz obracam na to, gdzie i jakby się zabawić; jak zabić i skrócić czas, co mi od

http://rcin.org.pl

ciężkiej pozostaje służby. Chodzę, szukam *j'exploite le pays.*

W tych wędrówkach poznałem na przedmieściu poczciwego mieszczanina, kołodzieja jak Piast, starego weterana wielkiej armii. *Il a par parenthèse, une aussi jolie fille.* Łżę mu o moich wojennych wyprawach *que je n'a jamais faittes.* Słucham cierpliwie, jak mi opowiada o Mantui, Saragosie i San Domingo. Jem co mi da, piję z nim piwo jak smok; a do córki oczy przewracam. *Mais il ne s' agit pas de cela.* Mój legionista ma doskonałe szkapy. Proste ale mocne sanki. Najmie nam dziś pewnie, a jego *imbecile de fils* co zawsze rozdziawia gębę, jak coś niestworzonego opowiadamy powiezie nas. *C' est la seule chose, qui il ache bien faire.*

Krajewski wziął z sobą mundur Adolfa. Poszliśmy obydwa do mojej kwatery gdziem mu reszty ubrania pożyczył. Przebrawszy się, pokrył to wszystko płaszczem, i poleciał po konie, dawszy nam za godzinę *rendez vous* za fortecą.

Zastaliśmy go już na umówionem miejscu, z sankami dobrze wysłanemi słomą, pokrytą szeroką weretą. Nie tracąc czasu, posiadaliśmy jak można najwygodniej, a syn kołodzieja wiatrami poleciał.

Mróz był mocny, ale powietrze spokojne. Droga dobrze ujeżdżona, pomimo gęstych zatok.

Koło godziny trzeciej po południu stanęliśmy przed gankiem majora. Pozrzucawszy płaszcze, zatarłszy ręce, weszliśmy do pokoju. Adolf przedstawił Krajewskiego rodzicom, któren z gospodynią domu, jak wiadomo francuzką, zaczął jej językiem bardzo salonową rozmowę, i od razu zaskarbił sobie jej względy.

Nadbiegła Julia, uściskała serdecznie brata, podała mi rączkę, którą serdecznie ucałowałem. Zaczęła się wesoła rozmowa między młodzieżą. Poważniejsi w osobnych stali lub siedzieli kupkach.

Nigdym nie widział Krajewskiego w tak miłem i przyzwoitem usposobieniu. Bawił damy wesołemi dowcipami, rozmawiał ze szlachtą, śmieszył ułanów, a z gwardyanem Bernardynów z Radecznicy zawarł sojusz przyjaźni.

Dano obiad, przeszliśmy do jadalnej izby. Stół duży, skromnie lecz bardzo często zastawiony, dodawał apetytu, a szereg butelek na przyległym stoliku, pokazywał, że się biesiada wesoło ma skończyć.

Udało mi się, zręcznie manewrując, usiąść koło Julci, z którą cały obiad przegadaliśmy tak, jakgdyby oprócz nas nikogo przy stole nie było. Czasem tylko kolejny kielich przerywał moje zajęcie. Krajewski emablował koło dam starszych, siedzących przy gospodyni. Adolf gził się z wesołą i pustą Juzią, resztę gości obojej płci podzielało ogólną wesołość.

Po ostatnim toaście „kochajmy się", wstano i na nowo połączono się w różne kółka coraz głośniejsze.

Korzystając z ruchu ogólnego, oświadczyłem się z moją nieskończoną i gorącą miłością Julii. Słuchała z uśmiechem na twarzy i zarumienionem licem; ale mi żadnej jeszcze bliskiej nadziei nie dawała, mówiąc:

— Bądźmy cierpliwi. Pan jeszcze za młody; czekajmy, dopóki oficerem nie zostaniesz. Teraz bawmy się wesoło, nie myśląc o przyszłości.

Zabolało mnie to jej oświadczenie, ale odgłos skrzypków wchodzących do pokoju ożywił zasępiony humor.

Puścili się wszyscy za starszyzną Polonеza; poczem żydki zagrali walca. Krajewski zaprosił majorowę, i obleciawszy z nią kilkakrotnie salonik, ukłonił się elegancko, pogadał jeszcze kilka minut z damami i zniknął w przyległym pokoju.

Tańce szły ochoczo, przerywane tylko czasem roznoszonemi chłodnikami, herbatą, winem i słodyczami.

Ile razy tańczyłem z Julią, a ta wsparta na mem ramieniu unosiła się w powietrzu, tyle razy największa błogość napełniała serce moje i przenosiła w niebiańskie strefy. Wszyscy byli w nieustannym ruchu. Cała młodzież i panny nie siadały prawie ani na chwilę, czas pędził lotem błyskawicy.

http://rcin.org.pl

Nakoniec z bolem serca przypomniałem sobie, że północ się zbliża, i że trzeba opuścić to czarujące towarzystwo, żeby wrócić i zaprząść się na nowo w jarzmo nudnej służby. Korzystając z oddalenia się chwilowego Julii, przyszedł mi na myśl Krajewski. Pobiegłem do przyległego pokoju, z którego głośny gwar się wydobywał. Wchodzę; zastaję Krajewskiego z gwardyanem i kilką starymi obywatelami przy stoliku koło wazy ponczu. Wszystkich twarze zarydzone. Wszyscy razem gadają i gestykulują. Ani słowa w tej wrzawie zrozumieć nie można. Wszedł i gospodarz; zerwali się, otoczyli go, podnieśli na rękach do góry, i chórem zanócili głośno, ale nie bardzo harmonijnie jakąś pieśń narodową.

Docisnąłem się do Krajewskiego. Wziąłem go za rękę.

— Już czas jechać.

— Jestem gotów, tylko wazę skończymy.

Wybiegłem szukać naszego woźnicę. Zastałem go gawroniącego się w sieniach. Kazałem zaprzęgać.

Poleciał do sanek i zajechał. Tymczasem jeszcze ostatniego puściliśmy się z Julią walca, z takim zapałem, jak gdyby to wirowanie zakończyć miało życie nasze.

Skończył się szalony taniec. Sam major napominał nas, żebyśmy się wybierali.

Pożegnawszy się jak najczulej, powskakiwaliśmy na sanki. Konie ruszyły z kopyta. Miesiąc w pełni obsypywał brylantami śniegowe zamiecie.

Ledwie ujechaliśmy pół ćwierci mili spostrzegłem, że Krajewski, któren bardzo przytomnie i przyzwoicie wyszedł z domu, obwiany raptem zimnem powietrzem, tak spać zaczął, że nie było podobieństwa dobudzić się go. Co chwila kiwał się tak, że o mało z sanek nie wylatywał. Kazałem więc stanąć. Położyliśmy go z Adolfem na saniach; ja zaś stanąłem z tyłu na kopanicach uważając, żeby nie wyleciał. Adolfa także sen zmorzył. Nasz furman ciągle konie zacina, i leci doskonale. W tym szalonym pędzie zbliżaliśmy się coraz więcej do Zamościa. Przejeżdżając przez małą wioskę, sanie poszły w zatokę, uderzyły tak silnie, żem puścił trzymane w zmarzłych rękach drabinki i spadłem, zarywszy się głową w śnieg głęboki.

Nim się wygramoliłem, nimem wynalazł furażerkę, sanki już były tak daleko, żem się ich dowołać nie mógł. Polecieli nie zważając że mnie na nich nie ma. Z tej wioski było jeszcze okrutne pół mili do twierdzy. Skoczyłem do najbliższej chaty, w nadziei że koni dostanę. Nie było; bo gospodarz pojechał za prowiantem dla osady Zamościa. To samo mnie spotkało w innych chatach. Rozpacz mnie brać zaczynała, bo czas uciekał, i jak mi się zdawało musiało już być po trzeciej z północy. Nakoniec widzę światełko w okienku dosyć porządnej chaty. Wbiegam do niej z ostatkiem nadziei.

Trochę ognia mdłym płomieniem oświecało izbę, a z kąta w którym stało łóżko, słyszę wydobywające się jęki niewieście.

Zbliżyłem się, kobieta leżąca walcząc z cierpieniem, opowiada mi, że jej męża zajęli na forszpan, a ona rodzi, nie mając nikogo przy sobie, oprócz małego dziecka w wiszącej kołysce.

Zaklina mnie na wszystkie świętości, żebym pobiegł do trzeciej chaty na lewo, i sprowadził z tamtąd babę, co akuszerkę udaje.

Zapomniałem o mojem niebezpiecznem położeniu, i poleciałem po babę. Ledwom się dopukał. Jakaś dziewczynka otworzyła. Wchodzę, pytam o babę, pokazuje mi że leży na piecu.

Długo trwało, nimem się jej dobudził, była bowiem należycie piana. Ciągnę, żeby ze mną poszła do sąsiadki. A ona na to.

— Ja nie mogę pójść, bo dałam buty do szewca, daj mi swoje, to pójdę.

Nie mogłem tego uczynić, ponawiam prośby i groźby, nakoniec baba wybełkotała:

— Kiedyś taki uparty, to mnie zanieś.

Nie tracąc czasu, biorę babę na barana, i ruszam.

W tej wiosce chata od chaty odległa. Baba zaczyna krzyczeć, że się jej nogi po śniegu włóczą. Zobaczywszy koło ścieżki pień ogro-

http://rcin.org.pl

mny, przybliżyłem się do niego, obróciłem się tyłem, kazałem babie stanąć na pniaku i poprawić się. Tylko co puściła ręce splątane pod moją brodą, oglądam się, żeby jej się kazać spieszyć. Patrzę, baby nie ma, zniknęła. W tej chwili przyszły mi na myśl czarownice. Włosy choć krótko ostrzyżone, podniosły furażerkę. Ochłonąwszy z przesądnego przestrachu, zaglądam w pień. Patrzę, a w nim studnia cembrowana, tak zwanym kadłubem, jak to zwykle w lasach na piaskach bywa.

Skoczyłem do bliskiego z sosnowych żerdzi zrobionego płotu, wyrywam żerdź, wpuszczam w wodę, lecz ani dna ani baby domacać się nie mogę. Powtórzywszy razy kilka moje poszukiwania i przekonawszy się, że wszystkie moje wysilenia daremne, przyszła mi na myśl moja własna pozycya. Rzucam więc babę w wodzie, i pędem lecę do Zamościa.

Szczęściem przybiegłem w tej samej chwili, kiedy bramę otwierano, przy której już koledzy czekali. Nic nie mówiąc każden z nas poleciał do swojej kwatery.

Rzuciłem się ubrany na łóżko, złamany fatygą i umęczony wrażeniami ostatniej nocy.

Ból głowy okropny dręczyć mnie zaczął. Pomimo tego niechcąc zważać na cierpienia, poszedłem na musztrę. Ledwie mogłem dokończyć rannej instrukcyi, zawlokłem się do kwatery, gdzie położywszy się na nowo, uczułem okropnie rozwijającą się gorączkę. Od tej chwili wszelką straciłem przytomność. Jak długo stan ten trwał, jakim sposobem i przez kogo przeniesiony zostałem do lazaretu, nic nie pamiętałem.

W gorączce snuły mi się po głowie straszne widziadła, czarownice z niedoperzowemi skrzydłami, które się do mnie rwały i chciały mnie z sobą w powietrze unosić, przed któremi zasłaniała mnie biała postać Julii; wydawałem okropne jęki i zrywałem się tak, że mnie do łóżka wiązać musieli.

Wreszcie osłabłem zupełnie, nie mogłem żadnym członkiem ruszyć. Nakoniec przyszła przytomność, otworzyłem oczy, rozglądając się na wszystko co mnie otacza, i nie mogąc sobie zdać sprawy, ani z tego co się ze mną dzieje, ani z miejsca w którem się znajduję.

W niewielkiej odległości od mego łóżka stała lampa rozlewająca bardzo mdłe światło, które się migotało i wszystkiemu co mnie otaczało fantastyczne nadawało formy. Przyzwyczaiwszy oczy do tego blasku, postrzegłem siedzącą koło mnie i drzemiącą postać Krajewskiego,

Zawołałem na niego cichym głosem. Zbudził się, i dał mi znak, żebym ani słowa nie gadał. Podał mi stojący koło łóżka jakiś napój chłodzący, któren z chciwością wychyliłem do dna. Jeszcze raz napomniał, żebym nic nie mówił; poszedł zameldować lekarzowi, żem odzyskał przytomność.

W pół godziny przyszedł nasz poczciwy lekarz, stary Niemiec, wziął mnie za puls, obmacał głowę, kazał przygotować nowe lekarstwo, zalecił milczenie, największą spokojność, i poszedł.

Na moje szczęście nie było tym razem chorych podoficerów w pułku, tak, że oprócz mnie, nikt w tej sali nie leżał.

Krajewski, któren sobie wyrobił, że wolne od służby chwile przy mnie mógł przepędzać, nie odstępował mnie prawie przez cały czas choroby.

Od niego dowiedziałem się, że 21 dni leżałem całkiem bez przytomności, okładany synopizmami, wizykatoryami z lodem na głowie, to też kark, ręce, nogi i krzyże okrutnie pokaleczone były kuracyą.

Poszedł Krajewski na musztrę, mnie przyniesiono czarkę lazaretowego bulionu, któren wypiwszy, zasnąłem spokojnie do wieczora.

Przebudziwszy się ożywiony trochę świeżem powietrzem, bo wczesna wiosna pozwoliła pierwszy raz otworzyć okna lazaretu; ujrzałem koło mego łóżka Adolfa i Krajewskiego. Ucałowali mnie, witając jak wracającego z tamtego świata, przyczem Krajewski nie zapomniał wypytywać się o wiadomości z nieba i piekła.

Dozorca przyniósł mi jakiś kwaskowaty napój, któren mi bardzo smakował. Gdy się oddalił, opowiadał mi Krajewski, com wygady-

http://rcin.org.pl

wał i wykrzykiwał w gorączce, jak się bał, żebym się nie wygadał z całą naszą wyprawą do majora. Z tego powodu ile tylko mógł mieć czasu, nie odstępował mnie. Poznałem jego poczciwe serce i szlachetny charakter, któren przez tyrańskie traktowanie, tak się spodlił później rozpustą, że przeszedłszy przez wszystkie stopnie kar wojskowych, jak w 1830 r. z kompanii poprawczej na oficera awansował, stał się zupełnie niezdolnym do służby, i skończył na tem, że się na jakimś szynku w Warszawie na śmierć zapił, i pod ławą ducha wyzionął.

Długom się jeszcze nie mógł podnieść z łóżka. Pewnego dnia przyszedł Adolf zmartwiony, i opowiedział mi, że wkrótce po naszej bytności u jego rodziców, ci dostali wiadomość z Bordeaux, że stryj majorowej bogaty kupiec bezdzietnie umarł, i że na nią połowa całego majątku spada; że pojechali natychmiast do Warszawy, zkąd wziąwszy paszport, udali się do Francyi, i że od czasu wyjazdu ich z Warszawy, żadnego pomimo obietnicy nie odebrał listu, co go bardzo niepokoi.

Uspakajałem go ile możności, perswadując, że odległość i interesa mogą być tego przyczyną; ale perswazye moje nie skutkowały, jakieś przeczucie dręczyło biednego Adolfa.

Jak mówiłem, zdrowie i siły moje bardzo powoli powracały, nie mogłem się jeszcze utrzymać na nogach, a do tego nie mało się przyczyniała myśl o Julii o kilkaset mil odemnie oddalonej, która całe moje posiadała serce. Myśl ta niepokoiła mnie w samotności, a w nocy sen odbierała.

Jednego poranku leżąc samotnie zatopiony w marzeniu usłyszałem długie niezwykłe bębnienie w odległości od lazaretu, byłem bardzo ciekawy, co by to znaczyć mogło; alem się dowiedzieć nie mógł, bo dopiero o południu miał nadejść lekarz.

Przed dwunastą wpadł Krajewski, blady, trzęsący się prawie, rzucił z całej siły furażer kę na ziemię, siadł na przyległem łóżku, obydwoma rękami zasłonił sobie twarz, i tarł z wściekłością czuprynę.

— Co ci jest — zapytałem z współczuciem.

— Zaraz ci wszystko opowiem, niech tylko przyjdę do siebie.

Przeczuwałem coś okropnego, wiedząc, że na Krajewskim lada co wrażenia nie zrobi.

Odetchnął silnie, przeszedł się parę razy po sali, załamał ręce tak, że wszystkie palce zatrzeszczały, przetarł oczy, usiadł naprzeciw mnie.

— Słuchaj! Pamiętasz Migórskiego i jego towarzyszy zbiegłych, złapanych przed zapustami.

— Pamiętam, coż się z nimi dzieje?

— Po długiem śledztwie, z któregotp powodu urlopu niemogliśmy dostać, przyszły nakoniec wczoraj wieczór wyroki z Warszawy.— *Sacre nom de Dieu!* dziś była exekucya. Wielki xiążę skazał Migórskiego na 800, a dwóch drugich na 600 batogów, nahajek. *Nom d'un nom.* Nahajek! słyszysz, *est ce que cela ne fait pas dresser les cheveux.* Dano rozkaz ażeby cały garnizon stanął pod bronią, i uszykowany został w czworobok na placu broni. Na środku stała ławka z pasami poprzecznemi.

— Przyprowadzono winowajców pod eskortą, i postawiono ich na przeciw ławki.

— Uderzono zbór w bębny, wszystko się uciszyło. Audytor przeczytał wyroki łagodzące niby karę śmierci, na którą byli skazani.

— Biedaki pobledli jak śmiertelne prześcieradła. Pobledli także żołnierze i aresztanci, którzy czwartą ścianę czworoboku pod mocną eskortą formowali.

— Znowu się odezwały bębny, które nie ustawały aż do końca exekucyi.

Przypinano jednego po drugim pasami do ławki. Po dwóch oprawców biło obnażone ciała. Rożański, oficer żandarmów rachował i w pularesie notował setki, a po każdej setce zmieniali się oprawcy dla wypoczynku.

— Oprócz ponurego odgłosu bębnów nikt prawie nie oddechał, wszyscy stali jak skamienieli.

— Wkrótce zaczęła skóra pękać, krew tryskać i ciało kawałkami odlatywać.

http://rcin.org.pl

— *Quel spectacle infernal!* i pomyśleć, że każdego z nas los taki spotkać może, *malediction!* Już nieraz zdawało się, że życie uleciało, ale znowu kiedy nahajka trafiła na świeży nerw, wydobywały się z piersi jęki przeraźliwe.

— Skończyła się exekucya. Poodnoszono zbitych nieboraków na noszach do lazaretu, do sali przeznaczonej dla więźniów. Rogate dusze, żadna nie uleciała. Garnizon ponury w milczeniu pomaszerował do koszar, zkąd jak tylko mogłem się wyrwać, przyleciałem do ciebie, żeby ci tę okropność opowiedzieć.

Opowiadanie Krajewskiego tak mnie przeraziło, żem znowu mocnej dostał gorączki, tak że poczciwy nasz lekarz zaczął się obawiać o mnie.

Młodość i silna natura zwyciężyła recydywę. Po trzech miesiącach przyszedłem do siebie, i mogłem wstąpić w szeregi, bo na moje miejsce przysłano z Warszawy innego instruktora gwardyi grenadierów.

Nadeszła też wiadomość z Bordeaux dla mnie bardzo smutna; Julia pisała do Adolfa, że ich kochany ojciec umarł, oni zaś na czas nieograniczony zostają we Francyi dla układów z współsukcesorem.

Chodziłem jak cień; mechanicznie odbywałem służbę, i nic, nawet Krajewskiego cynizm, ani serdeczne współczucie Żelskiego, ani boleść Adolfa nie mogły na mnie wywrzeć najmniejszego wrażenia.

Poszliśmy jak za zwyczaj po żniwach do obozu, po skończeniu którego zostałem w Warszawie odkomenderowany do kompanii karabinierów, a na wiosnę doczekałem się tyle pożądanych niegdyś, a teraz dla mnie zupełnie obojętnych szlif podporucznikowskich.

Wstał Józef z fotelu, złożył sexternik, którego mniejszą połowę przeczytał.

— Przepraszam -- rzekł — żem was znudził memi podchorążowskiemi wspomnieniami. W tamtym czasie innych jeszcze nie było.

Serdecznie podziękowaliśmy mu wszyscy, a ja zapytałem:

— Cóż tam więcej jest w twoim pularesie?

— To już mniej więcej należy do historyi, to są fakta przez wielu znane, a przez wielu innych przekręcane, fakta opisujące podjęte prace, poświęcenia się wielu z naszych, których nazwiska zostaną na wieki ukryte, a które wywołały ten świetny, heroiczny prolog do trajedyi 1831 roku.

— Czy nieraczysz nam to przeczytać?— zapytałem.

— Nie. Dałem sobie na to słowo, i dotrzymam go święcie. Ale ja długo żyć nie będę, czuję to, a po mojej śmierci tobie przyjacielu przekażę te notatki.

Uściskaliśmy się z rozrzewnieniem. Wszyscy powstali, nawet p. Franciszek, na którego twarz i czoło kroplisty pot wystąpił, siedział nieruchomo przez cały czas czytania, ale nic nie słyszał ani słuchał, bo mu ciągle katar i suchoty stały przed oczyma.

— Jak się pan ma?— zapytał p. Jakób.

— Pocę się okropnie, i boję się tego.

— Niech się pan nie boi; wszak sam widziałeś, jak dzieci moje na taki sam katar okropnie chorowały, a jak raz przyszły poty, zupełnie wyzdrowiały, i teraz słyszysz pan, jak dokazują w salonie?

— To się dzieci pana pociły? — rzekł p. Franciszek, obcierając twarz i czoło, a oczy mu się rozjaśniły wesoło.

Wszedł służący dając znać na wieczerzę. Przeszliśmy do salonu, podano ręce damom. P. Franciszek poszedł do swego pokoju, zamienił szlafrok na ciepły surdut, przyszedł za nami i jadł za czterech.

K o n i e c.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Myłki drukarskie.

Strona	4,	przedziałka	2,	wiersz	29	*zamiast*:	Choć,	*czytaj* Chodź
„	11	„	2	„	7	„	Odsuwają	„ Odzywają
„	11	„	2	„	12	„	podoficerowie i żołnierzowie	„ podoficerowi i żołnierzowi
„	13	„	1	„	27	„	w skos	„ w skazę
„	13	„	2	„	43	„	Sullera	„ Szyllera
„	15	„	1	„	45	„	ze	„ za
„	17	„	1	„	45	„	instruktorem	„ instruktorów
„	17	„	2	„	46	„	pieszo	„ pieszej
„	18	„	2	„	38	„	ze	„ za
„	25	„	1	„	15	„	ognał	„ ogrzał
„	26	„	2	„	8	„	*fatons*	„ *jalons*
„	26	„	2	„	9	„	piechoty	„ piechoto
„	27	„	1	„	6	„	półkownikiem	„ kapitanem
„	30	„	2	„	31	„	Żymiński	„ Żymirski
„	31	„	2	„	6	„	naniść	„ napaść
„	31	„	2	„	27	„	gwardyi	„ gwardyi polskiej
„	34	„	1	„	35	„	stół	„ żłób
„	36	„	2	„	4	„	Fere	„ Feze
„	37	„	2	„	37	„	Konarski	„ Koszarski
„	42	„	1	„	42	„	nic	„ nie
„	48	„	1	„	17	„	jak	„ przez

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl